Nr. 26. Warszawa, dnia 17 (30) Czerwca 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Rozkaz Najwyższy

do Senatu Rządzącego.

W liczbie środków, w osobnych naradach, co do spraw stanu szlacheckiego rozpatrzonych, był przejrzany i wniesiony do Rady Państwa projekt o warunkach co do otrzymania praw szlachectwa dziedzicznego i porządek wpisywania rodzin szlacheckich do ksiąg heraldycznych.

Zatwierdziwszy obecnie wydaną w tym względzie opinię Rady Państwa, jesteśmy przekonani, że szlachta rosyjska, kompletując się i nadal z grona lepszych ludzi, z rzetelną korzyścią będzie służyła wiernie Tronowi i Ojczyźnie. Skutkiem tego rozkazujemy:

I. Obowiązujące przepisy o udzielaniu szlachectwa dziedzicznego (art. 19 praw stanu, zb. pr. tom IX, wyd. z r. 1899) wyrazić w sposób następujący:

Szlachectwo dziedziczne otrzymuje się wówczas, jeżeli danej osobie nadaje się prawo szlachectwa dziedzicznego według uznania władzy Samowładczej.

II. W uzupełnieniu odpowiednich przepisów stanowimy:

1) Prawa szlachectwa dziedzicznego za odznaczenia służbowe uzyskują: a) osoby, które otrzymały nie w dymisyi lecz na służbie czynnej rangę rzeczywistego radcy stanu, pułkownika lub kapitana I klasy, lub też nagrodzone zostały orderami rosyjskimi pierwszej klasy, albo też orderami św. Jerzego wszystkich klas i św. Włodzimierza pierwszych trzech klas i b) osoby duchowne, zaliczone do jednego z wyżej wymienionych orderów.

2) Osoby duchowne i osoby pozostające na służbie cywilnej, lub wojskowej, nagrodzone orderem św. Włodzimierza kl. IV, otrzymują szlachectwo osobiste, o ile dotychczas nie posiadały praw szlacheckich.

3) Order św. Włodzimierza kl. III przy stopniowem nagradzaniu orderami, nie może być dawany osobom, zajmującym posady niższe od klasy piątej i nie posiadającym rangi rzeczywistego radcy stanu, a wojskowym rangi pułkownika, lub kapitana I klasy.

4) Zebraniu marszałków i deputatów szlachty nadaje się prawo nie uwzględniania podań szlachty dziedzicznej, nieposiadającej własnych nieruchomości w obrębie gubernii, o wniesienie ich rodów do ksiąg heraldycznych.

5) Wymienione w artykule poprzednim sprawy są decydowane na zebraniu marszałków i deputatów szlachty, przy obowiązkowej obecności wszystkich marszałków szlachty danej gubernii lub ich zastępców. Decyzye takiego zebrania o odmowie zapisania do ksiąg szlacheckich gubernii zapadają większością nie mniej, niż dwóch, trzech głosów obecnych członków zebrania i nie podlegają zaskarżeniu.

6) Żydzi, którzy nabyli prawo do szlachectwa dziedzicznego, do gubernialnych ksiąg szlacheckich zapisywani być nie mogą.

III. Istniejące przepisy o nadaniu tytułu szlacheckiego dziedzicznego na mocy rang, nadających szlachectwo osobiste i otrzymanych przez ojca, dziada lub pradziada, zostają uchylone.

IV. Ministrowie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości zarządzą opracowanie sposobu prowadzenia ksiąg szlacheckich dla szlachty, nie zapisanej do ksiąg gubernialnych i projekt w tym względzie przedstawią do zatwierdzenia w trybie ustanowionym możliwie w jaknajprędszym czasie.

Senat Rządzący nie omieszka wydać co do wykonania niniejszego stosownych rozporządzeń.

Na oryginale własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

„MIKOŁAJ.“

W Carskiem Siole,
d. 28 maja 1900 roku.

(*Praw. Wiest.* nr. 125).

POLITYKA.

ZAMĘT WŁOSKI.

Dnia 16 b. m. zebrał się parlament włoski, wybrany na Zielone Świątki, uzupełniony po walce między nieostatecznie wybranymi we dwa tygodnie później. Podano tu siłę stronnictw według nie ostatecznych jeszcze sprawozdań; t. zw. *ballot* nie zmienił liczb doniośle dla ogólnych wyników bitwy wyborczej. Stronnictwo rządowe, monarchiczne i konstytucyjne, ma w nowym parlamencie niezaprzeczoną większość liczebną: może prawa, jakie zechce, uchwalać, może zabezpieczać porządek wszelkimi środkami, jakie tylko pomyśleć się dadzą. Ale i stronnictwa w mniejszości będące mogą im uchwalanie takich praw tamować — a że umieją, tego dowiodły niedawno przed samymi wyborami, dowodziły jeszcze za Crispiego — i po nim w walce zaciętej z gabinetem gen Pelloux.

Nie lękał się jednak tej obstrukcyi swych nieprzyjaciół generał-minister i po wyborach uzupełniających nabrał nawet animuszu, uważał bowiem, że rządowcom powiodło się stosunkowo nie gorzej, niż opozycyi, i arytmetyczna ich suma w Izbie otrzymała spory przyrost. Tylko Visconti-Venosta, minister spraw zagranicznych, był za podaniem się gabinetu do dymisyi. Pelloux do silnych rządów własnych potrzebował silnych cugli w Izbie. Poprzedni prezes, Colombo, nie umiał władać dość energicznie. Pelloux wybrał niejakiego Gallo, mało dotychczas znanego po za obrębem Włoch: Gallo wybór przyjął

i obaj z pomocą nowego, nadzwyczaj surowego regulaminu zabierali się już do poskromienia opozycyi, zwłaszcza skrajnej, republikańskiej i ultramontańskiej, chociażby przyszło wynosić posłów z Izby, jak skrępowanych baranów. Zaraz po otwarciu d. 16 b. m. rząd przeprowadził wybór Galla 242 głosami przeciwko 214, danym Biancheremu.

Gdy tak po obu stronach namiętnie przygotowywano się do boju parlamentarnego — urząd statystyczny królestwa włoskiego spokojnie zapisywał, rozdzielał i dodawał liczby obu głosowań i już po zagajeniu Izb mową tronową nadesłał gen. Pelloux wyniki obliczeń. Miały one dla prezesa gabinetu wymowę przerażającą: rząd ma większość w Izbie, ale opozycya ma większość w narodzie. Na 1,330,910 głosów ważnych, złożonych w obu głosowaniach, jest 750 tysięcy w okrągłej liczbie (749,485) opozycyjnych, 611,425 rządowych, ministeryalnych, konstytucyjnych. W skład opozycyi wchodzą: socyaliści z 215,841 głos., republikanie ze 112,645 głos. — razem oba te stronnictwa w sile 328,485 głosów. Pomiędzy monarchistami czystymi, z podaną już wyżej liczbą głosów, a radykalnymi, którzy jeszcze republikanami nie są, a rozporządzają w narodzie 110,209 głosami, stoją opozycyoniści wierni konstytucyi, ale nie trzymający bynajmniej z gabinetem. Jest ich 303,891. Ta ich liczebna potęga, prawie dorównywająca potędze republikańsko-demokratycznej, głównie ostudziła zapały gen. Pelloux: powiedziała mu bowiem wyraźnie, że jego nie chcą, chociaż chcą i konstytucyi i monarchii.

Podał się też zaraz generał-minister do dymisyi. Król chętnie by go zatrzymał, bo miał z niego wygodę — bufor dość wytrzymały przy ciągłem spotykaniu się i uderzaniu o siebie namiętności politycznych; ale i król dostrzegł niemożliwość: pozwolił też słudze odejść. W ciężkiem wszakże ujrzał się położeniu — w tak ciężkiem, że nikogo nie znalazł, komuby mógł dać wiosło skołatanej łodzi, prócz 80-letniego starca, półwiekowego polityka, używającego już senatorskich wczasów, Saracca. Udało się tej sędziwej powadze zatrzymać w przyszłej budowie Viscontego-Venostę, ale dotychczas nie udało się wznieść samej budowy. Będzie to oczywiście jakaś w ostatniej godzinie sklecona szopa — przeznaczona na to, aby ją pierwsza zawierucha zmiotła. Niedobrą jej wróżbę stawia utrzymanie Venosty, który tak na opozycyę się zawziął, że nie chce w układach przedwstępnych przystać na sprawiedliwe żądania lewicy, w najdrażliwszej i konkretnie najważniejszej sprawie nowego regulaminu, mającego zapewnić porządek w Izbie. Lewica zaproponowała powierzenie redakcyi komisyi z 9 posłów: 5 rządowych i 4 opozycyjnych — nic rozsądniejszego i zarazem sprawiedliwszego. Odrzucanie takiej propozycyi wskazuje, że w tym płynie, z którego się ma wykrystalizować rząd, niema ani rozsądku, ani sprawiedliwości dla stronnictw krańcowych. Nie będzie zgody — będzie walka. Może jednak instynkt zachowawczy ściągnie króla Humberta z torów bezwzględnej nienawiści i bezwzględnego też pomiatania przeciwnikami.

Tydzień polityczny. Telegramy angielskie wystawiają położenie głównych sił boerskich pod De-Wettem na północ od Kroonstadu w tak rozpaczliwem świetle, że gdyby nie wahanie się naczelnego wodza, Bothy, i upór rządu — przyszłoby już do kapitulacyi. Istotnie pierścień angielski coraz się węziej zacieśnia. Natal już zupełnie opuszczony. Od Ladysmithu do Pretoryi powiewa już angielska chorągiew. Nieszczęścia Boerów imponują cesarzowi Wilhelmowi równie dobrze w r. 1900, jak w r. 1896, na nowy rok, zaimponowało znowu ich szczęście, gdy stłukli rozbójniczego Jamesona. Syn Fryderyka III z kolei wysłał do Londynu telegram winszujący świetnego powodzenia w Transwalu. Interpelowano o to w sejmie niemieckim, na ostatniem posiedzeniu w d. 12 b. m. Wyzwany p. Bülow stanął, ale prócz zapewnienia, że polityka cesarstwa nie jest i nie będzie awanturniczą i fantazyjną — nic powiedział nic: faktu nawet nie dotknął.

Na owem ostatniem posiedzeniu sejm cesarstwa niemieckiego przyjął podwojenie floty. Paragraf zasadniczy zyskał 199 *tak* i 107 *nie*. Przeciwni byli socyaliści, wolnomyślni Richtera, demokraci południowo-niemieccy, Polacy, Welfowie, Alzatczycy, 17 ze środka i 2 zachowawców.

Straszne rzeczy dzieją się w Bulgaryi z powodu tureckiej dziesięciny. W ponownych rozruchach w Duran-Kale wojsko strzelało do ludu i lud do wojska. Dom municypalny zburzony. Siedemdziesięciu wieśniaków legło trupem, 20 było ciężko ranionych. Oficerów padło 2, żołnierzy 20. W okręgach Szumla i Warna stan oblężenia.

Los Seymoura i jego dwu tysięcy niepewny. Nie mógł dotrzeć do Pekinu, bronionego przez 30,000 Chińczyków z działami, nie było go jeszcze d. 25 w Tientsinie. Do układów między dyplomacyą—sprowadza się kwestya chińska z najważniejszej, prawdziwie historycznej, swej strony.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Jubileusz Gutenberga

(Luźne uwagi).

Nur ewigen und ernsten Dingen
Sei ihr metallner Mund geweiht!
Schiller.

Niemcy w bieżącym miesiącu obchodzą rzadkie i prawdziwie wielkie święto: jubileusz Gutenberga. Moguncya, kolebka wynalazcy druku, przez całą drugą połowę czerwca rozbrzmiewa

---

Józef Jedlicz.

W SIECI.

(Z podtatrzańskich szkiców).

Od czasu, jak Bartkowi Galikowi zaniemogła żona, marniał mu statek i rozlatywał się niby wyrudziałe kiści startego z drzew listowia. Ostatnią jałówkę wyprowadził z obory garbaty Jojne Kopela. Szła howieda pod nóż i ryczała żałośnie, obwąchując żyda, to oglądając się z rozpaczą na stajnię i Bartka. I minęło się bydlę na podróż do Krakowa i „medycyny.“ Ale kobiecie i tak nie pomogło — pluje krwią i pluje — i wszyscy święci jej nie pomogą. A tu dzieciąt troje, bieda coraz gorsza, a pociechy znikąd. Bartek uwziął się jednak, gdyż chciał za wszelką cenę chorą ratować. Była młoda i ładna — i chłop nie mógł oswoić się z myślą, że ją będzie musiał wywieźć na cmentarz. I przyszła nędza i niezmiernie szybko rozwielmożniła się w chałupie.

Sąsiedzi kiwali głowami i przyganiali Bartkowi:

— Żebyś se ty człowieku i ręce pourabiał, to i tak biedy nic zmożesz. Po co cudować, po co sie woli Boskiej sprzeciwiać la jednej baby!

— Głupi chłop, dwa razy biedny — litowali się blizcy przyjaciele i pożyczać więcej Bartkowi nie chcieli.

Chłop wychudł, sposępniał i stał się oprysklivy, zły. Na żonę poglądał z ukosa i uciekał od niej. Bieda, to wielka pani, co wygania z człowieka litość.

Przyszła Wielka Sobota, wiosna na karku, ludziska się cieszą i pieką święcone, aż pachnie po wsi, tylko u Galika pustki, jak na cmentarzu i zimno jak w kostnicy. Bartek od rana chodził po ludziach. Nic darzyło mu się, bo wróciwszy miał złą minę, do chorej nie mówił nic, dzieciom kazał iść spać, a sam błąkał się niby cień po pustem obejściu. Obejrzał kika razy piwnicę, komorę i stodołę, a widząc, że tu już i źdźbła nie zdybie, zadrżał i sam siebie się przeląkł. Wypadł ogłupiały sąsiadowym przyścienkiem i gnał w pole, tak, jakby przed kim uciekał. Zdawało mu się, że coś ściska go za gardło, oblewa po grzbiecie strumieniami zimnej jak lód wody i tłucze po sercu i dołku. Mijając ogród, potknął się w bróździsku, więc zwolnił i zdyszany wytrzeszczał oczy na ołowiane niebo, na las poblizki, czarną ścianą wrzynający się w pola i szare roztopy śniegowe.

Stanął chwilę z opuszczonemi rękoma.

— Zmaznie sie, abo co... skończy sie wszycko — i bieda i zimno i głód. Nie będę na nią patrzał i cierpiał. Za jakie grzechy ja tak bieduję, do wszyckich milionskich!

Zimny, siekący wicher, włóczył się po polu i wył.

— Zawieszę sie i bedzie dobrze. Niech ta psia — umiera z głodu... Samem se winien, samem se winien, Bóg mie pokarał. Dłużej nie wytrzymam, niech suka zdycha... Wciurności by wytrzymali! Dzieci abo wymarzną, abo sie ludzie zlitują.

Bełkocząc głośno, chłop zawrócił. Zanurzył się na nowo w stodołę i macał po mrocznych kątach. Tłukł się i zataczał pijany bólem, z włosem ciekącym od potu, z palcami umaczanymi w kurzu — jakby własnej duszy szukał. Zbadał sąsiek, obszedł kilka razy dookoła zaczynko, przetrząsnął jak najdokładniej śpichlerz. Głupstwo — przecież od dwóch tygodni wiedział, że pusty. Wlazł następnie na boisko, drapał się po stropie. Z rozpaczliwą troskliwością przeszukał każdą dziurę, każdy kąt.

— Chryste panie i myszy już pouciekały...

Zdawało mu się, że szydzą z niego odrapane ściany. Uderzenia w piersi i dołek stawały się coraz szybsze i cięższe, tak, że chłop giął się prawie. Cichy jęk, podobny do głuchego stęku zarzynanego wołu, wydobywał się z jego ściśniętego gardła, gdy schodził po kołkach ze stropu.

— Miły mocny Boże, miły mocny Boże, miły mocny...

Pod wpływem niedorzecznej logiki nieszczęsnych zrodziła się w jego duszy skarga smutna jak noc i rzewna jak płacz dzieciny.

— Umrzesz mi Oleska i juz cie nie bedzie. Juz mi ty nieborko nie podasz snopka ani brzemienia z pawęzu. Juz cie nie bedzie, nie bedzie... I co ja pocznę z temi

bojnałami; cała przybrana zielenią wawrzynu, urządza pochody historyczne. Współczuje temu cały świat niemal: arcyksiążęta i ministrowie, delegaci rządów, bibliotek i uniwersytetów, dziennikarze i literaci, wydawcy, księgarze, aż do tłumnych rzesz czytelniczych — wszystko to zjeżdża się, aby hołd złożyć dniom w czasie może dalekim, albowiem rozziewem 500 lat od nas oddzielonym, w istocie zaś rzeczy niezmiernie blizkim, bo żyjącym nie we wspomnieniu tylko, jeno w rzeczywistości bieżącej, coraz potężniejszej, coraz bardziej doskonałej: w druku, w książce, w oświacie coraz to szerszych mas.

Rzecz atoli, zaiste, dziwna. Owo „prawdziwie wielkie święto“ potężnem jest przez pamięć dla jednego tylko człowieka.

O Gutenbergu wiemy niezmiernie mało. Wiadomo nam, że życie jego było utkane z czarnych nici: na wygnaniu i w ojczyźnie pełne procesów i długów, zapoznania i zniechęceń. Kto zacz on był, jak to walki znosił, czy z nich obronną wychodził ręką — nie wiemy. Jaki udział miał on w samym wynalazku, a co za tem idzie — jaką położył zasługę? Prawie że z najzupełniejszą pewnością można twierdzić dzisiaj, że to Gutenbergowi, a nie Fustowi i Schöfferowi w Moguncyi, nie Mentelinowi w Strasburgu, nie Janszoon-Costerowi w Haarlemie przypada w udziale pierwszeństwo. Ale cóż on właściwie *wynalazł?* Odkrycie snuło się w powietrzu, a dziś, gdy myślimy, że chodziło tu tylko o zastąpienie wielkich płyt — czcionkami ruchomymi, o zamianę drzewa na metal, przypomina nam się anegdota o jajku Kolumbowem. Cóż bo było bardziej prostego, jak taki pomysł! A jednak trzeba było tysiącleci, aby go wymyślić, aby to, co niby pod progiem świadomości całego świata duchowego owej epoki leżało, na światło dzienne wydobyć i w skończonej formie uwiecznić. Prawda, że względnie prostym, niezłożonym był sam wynalazek. Tylko jego skutki historyczno-kulturalne uczyniły z niego jeden z najpotężniejszych, jaki w swym pochodzie ludzkości udało się stworzyć. Te skutki atoli, owo znaczenie — było zupełnie od twórcy niezależne, tak iż dziś, myśląc o jubileuszu Gutenberga, myślimy i piszemy właściwie tylko o jubileuszu wielkiego wynalazku.

Łatwo nam zrozumieć, że w naturze czasu, który sztuce drukarskiej dał życie, leżał separatyzm, wyłączność tych sfer, które na nowym wynalazku poznać się umiały. W początkach swego istnienia sztuka ta była wielce arystokratyczną. Tylko nader nieliczne sfery korzystały w owem stuleciu budzącego się Odrodzenia z błogosławieństwa oświaty. Dla tych zaś sfer wynalazek Gutenberga nie mógł posiadać wartości przewrotowej. Książek było naogół — mówimy o statystyce tytułów — niewiele, ludzie mieli dużo czasu, cierpliwości, pobożnej wytrwałości. Jeszcze w Rzymie starożytnym kwitła sztuka przepisywania, i Cycero opowiada nam o egzemplarzu Eneidy, tak pisanym, że można było zawierający ją papirus zmieścić w łupinie orzecha. W ciszy klasztornej kopiści rozwinęli swą umiejętność do wyżyn, których my im dziś zazdrościmy, a zazdroszcząc, naśladujemy. Wraz z rozwojem kopiowania starych i nowych ksiąg rozwinęło się księgarstwo i dawało nawet podobno doskonałe zyski. Dla tych wszystkich powodów w pierwszej chwili nie rozumiano wcale potęgi wynalazku i tylko mądry i proroczo natchniony umysł biskupa; Jana Andrzeja z Aleryi, potrafił rzucić właściwe światło na istotę zjawiska. W poświęceniu listów św. Hieronima, zwróconem do papieża Pawła II — jednym z pierwszych druków włoskich, dokonanym w Rzymie 1460 r. przez dwu niemieckich zecerów, Konrada Sweynheima i Arnolda Pannartz — mówi on: „Właśnie w twoim czasie liczne dowody łaski bożej powiększył szczęśliwy dar zesłany światu chrześciańskiemu, ten mianowicie, że dziś i najbiedniejszy może sobie za niewielkie pieniądze zakupić bibliotekę. Zali nie wielka to chwała dla Twojej Świątobliwości, że księgi, które dawniej zaledwie kosztem stu dukatów można było kupić, dziś są do nabycia za dwadzieścia, a nadto są wolne od dawnych błędów? Albo że tomy, za które poprzednio płacono dwadzieścia, dziś można otrzymać za cztery i mniej dukatów?..

A dalej: podczas gdy dawniej wszystkie wybitne duchy skutkiem nadmiernej pracy i znacznych kosztów przepisywania chowały się między kurz i mole, dziś za twoich rządów wystąpiły na światło dzienne i rozpłynęły się szeroką falą po całej kuli ziemskiej...“

W tych bombastycznych słowach kryje się treść wielce ważna: uczony biskup przewidział, co przyjść musiało — popularyzacyę nauki. Książka z arystokratki musiała zostać demokratką. I dlatego też słusznie twierdził nasz Wiszniewski, że „wynalazek druku należy uważać za epokę przedzielającą dwa światy w historyi ukształcenia ludzi i oświecenia.“

Długich atoli stuleci trzeba było, aby ta zasada w zjawiskach rzeczywistych wyraz swój znalazła. Świat nie w książce szukał zbawienia. Po Odrodzeniu i Reformacyi, kiedy to na krótką chwilę historya rozpięła nad ludzkością lazurowy kryształ humanizmu, w którym słońce Ideału rozpalać poczęło miryady iskrzących punktów, po tych kilku dniach błogostanu zawisła nad Europą ołowiana chmura umysłowego i moralnego jezuityzmu. Te czasy dają życie hamulcom, na ich łonie rodzi się kościelny i państwowy *Index librorum prohibitorum*, który i dziś jeszcze podwiązuje w organizmie wierzącej i zależnej ludzkości wszystkie arterye wolnej myśli. I dopiero w naszem stuleciu wynalazek druku znalazł sobie tło odpowiednie, stał się potęgą według Napoleona — piątem mocarstwem. Przyszedł tu z pomocą nowoczesny rozwój techniki. Niemiec König zbudował pierwszy prasę pospieszną drukarską i od tej chwili dopiero można mówić o masowym wpływie drukowanego słowa. Dziennikarstwo zdobywa w tej chwili wolną od przeszkód drogę: para i elektryczność zapewniają mu jak najszybszy obieg. Ostatecznie pomyślmy tylko: z chwilą, gdy zdobyliśmy możliwość *mimograficznego* powtarzania tej samej wiadomości, staje się myśl potęgą materyalną, która wywalcza sobie wewnętrzną swoją siłą miejsce w całych gromadach ludzkich, co się jej władzy, wpływowi poddają, jej słuchają, za nią idą. Zaczynają tu panować procesy suggestyj masowych. W ten sposób myśl z łatwością opanowuje opinię publiczną; oddziaływa i drażni naród cały w sposób dotychczas niebywały, zmusza najbardziej śpiących a obojętnych do zastanowienia; stale żłobiąc w mózgach dla siebie drogi, formuje przekonania. Prasa staje się czynnikiem pierwszorzędnym oświaty.

---

sierotami — ani gadziny, ani owsa, ani siana, pośład dzieciska het wyłuszczyły niebożęta.

Dyszał ciężko i płakał. Ręce jego w bezwiednym ruchu wyprostowały się i złamały w łokciach. Siadł na progu boiska i skurczone pięści cisnął do skroni. Czuł pod palcami nabrzmiałe żyły i gorący prąd krwi.

— Wyzdychamy wszyscy do cna, wszyscy do cna — szeptał dysząc.

W głowie coraz szybciej wirował ognisty strumień. Przez łzy, niby przez mgłę widział ciemne okno zaczynku, białe krokwie, błyszczące nitki szpar i wiszący na ścianie postronek od pawęzu zagięty w pętlicę. Bartek rozszerzonemi źrenicami widział za mgłą każdą najlżejszą szparkę, każdy kołek i jakieś dziwaczne obrazy; równocześnie zdało mu się, że powiały nań westchnienia z tamtych światów i powoli unoszą go w górę. I stanęły mu w oczach tamte czasy. Ujrzał się małym chłopcem, prawie dzieckiem. Siedzi sobie z ojcem na środku boiska. Ojciec pogwizdując struże nowe grabisko. Poziera na niego z pod kapelusza, ściąga siwe brwi i upomina, by nie ruszał noża, bo się skaleczy. Słońce olśniewającą tęczą przedziera się przez szpary, na polu jasno, niebo jak łza. Kury grzebocą i tarzają się po słonku.

— Stara, a weźno tego bębna, bo mi tu jeszcze narobi ośkliwości.

— A od czegożeś ta, nie możesz to dziecka przypilnować!

— Powiadam ci raz, chybaj, bierz go...

— Co sie tak zaraz sierdzisz... Pójdź, pójdź Bartuś, nie płacz. Mój parobek, mój, mój, mój...

Pokosili już siana; po wsi słychać brzęk chowanych kós i trzask grabi. Ojciec zaprzęgają konia.

— Hanuś, wsadź chłopca na wóz, a wyprzętuj duchem boisko — wio, siwy, bo idzie chmura...

Hej, wesele jedzie, gwarne wesele. Wszyscy śmieją się, to śpiewają. Hanusia tylko płacze, choć przepięknie ubrana i w wianku zielonym. Postawili stół na boisku, bo w izbie gorąco. Są wikary i jakisi drugi ksiądz. Zagrali muzykanci. Pali sie, pali sie — woła ktoś z pola. Goście rozsypują się, ksiądz wikary zbladł jak chusta i kieliszek wypadł mu z palców. Bartuś wyskakuje i widzi na końcu wsi cieniutki sznur dymu, potem ogromny płomień. Ludu ciżba, zgiełk. Ugasili, chwała Bogu. Ksiądz zasłabli, parobcy tańczą.

Stary Kapuściarz, ten gruby gazda, pije i uśmiecha się do Bartusia, a łzy kapią mu do piwa. Bartuś śmieje się głośno. Kaźmik Chrobak, okrutnie ładny chłop, cyfruje jak harnaś!

Kie Janosik wiedzie nas
Popod hory, popod las,
Maryś, Maryś nie banuj,
Otrzyj oczka, pocałuj...

Wyjeżdżają z białemi pierzynami. Jasiek trzaska z bicza. O, o.. bo skrzynia spadnie, skrzynia malowana. Mama płaczą, kumoszki płaczą, Hanusia łkając, za nogi obejmuje matkę. Wszyscy śpiewają tak żałośnie, tak żałośnie.

— Jasiek, a podcinaj ta konie!

Wróblowianie jadą,
Konie wodę mącą,
Wzięli nam Hanusię,
Już nam jej nie wróca —
Wzięli nam Hanusię,
Już nam jej nie wróca..
Uuu-hu!
Pojechali, pojechali, pojechali!..
Uuu-hu!..

. . . .

Bartek wzdrygnął się i ocknął na chwilę, niby w ciężkim śnie, gdy kogut zapieje. „Wyzdychamy wszyscy do cna“ — powtarza bezwiednie, lecz darmo próbuje się z mar otrząsnąć. Jakieś widma i zmory latają mu poprzed oczy i obsiadają czoło. W boisku wszystko zaczyna się kręcić wkoło. Mgliste zręby cieni — niby duchy ścian — snwają się powoli, niezgrabnie, ciężko — i zaczynają taniec. Tam w głębi stoją ojciec nieboszczyk i matka nieboszczka. Matka śmieje się i wyciąga pomarszczone ręce:

— Mój mały parobek, mój, mój, mój...

Ściany wyszczerzają straszne szpary i chichocą przerażająco. Z ciemnej, bezdennej gardzieli odzywa się jakiś płacz dziecięcy, wylatują chmury okrągłych, czarnych i białych cieni i huczą, wirują z potworną szybkością. Zbijają się w straszliwą trąbę i ostrym klinem pędzą wprost

Ciekawość ludzka, która długo na wiadomości nowe a sensacyjne czekać nie chce, podsyca ogień, na którym smarzą się dzienniki współczesne. Plączą się przyczyny i skutki, działając na się wzajem i w ostatecznym rezultacie otrzymujemy — współczesny rozwój drukarstwa i dziennikarstwa, który w kilku cyfrach da się z łatwością scharakteryzować.

S. P.

(D. n.).

Z WYSTAWY POWSZECHNEJ.

(Notatka).

Całemu światu cywilizowanemu zapowiedziano od dawna zamknięcie wieku XIX uroczystym turniejem międzynarodowym, na którym miano złożyć owoce wszechstronnej pracy ludzkiej. Miejsce na tę uroczystość oznaczono nad Sekwaną na polu Marsowem u podnoża wieży Eiffla. Olbrzymie trąby reklamy, zwrócone stamtąd na wszystkie strony świata, nawoływały nieustannie potężnym głosem wszystkich, kto tylko żyje, pracuje i myśli. Jakoż istotnie wystawa powszechna przez parę lat była osią, około której obracały się myśli milionów ludzi. Jedni marzyli o zdobyciu nagrody, ażeby za jej pomocą stworzyć sobie powodzenie w przemyśle i handlu lub znaczenie na polu sztuki i nauki, inni chcieli nasycić trawiącą ich ciekawość, inni wreszcie zapragnęli coś zarobić przy sposobności. Uroczystość międzynarodowa, bilans pracy duchowej i materyalnej na schyłku wieku — stały się tedy wielkiem i różnorodnem przedsiębiorstwem, którego liczne i długie ramiona wyciągnęły się nieskończenie z pod wieży Eiffla z Trocadero, z lasku Vincennes i opasały świat nietylko cywilizowany, lecz i na wpół dziki. Stworzono niezliczone przedsiębiorstwa informacyjne, przewozowe, pośredniczące itd. Urządziły one swoje stacye na całej kuli ziemskiej i zaczęły łapać łatwowiernych, naiwnych lub niedołęgów. Ci, którzy nigdy w życiu nie opuszczali swoich zaścianków, pojechali zobaczyć dziw nad dziwy, oddali się z całą ufnością opiekunom, którzy zarobiwszy 100%, pokazali im to, co chcieli pokazać i odesłali do domów. Wystawa więc dała zarobek licznej rzeszy aferzystów nawet o tysiące kilometrów od Paryża. Ściągnęła także na miejsce całą armię przedsiębiorców i kramarzy.

Obmywszy się z kurzu po dwu dobach jazdy, spieszę na wystawę i od placu Zgody przekraczam ową słynną odtworzoną w tysiącach pism ilustrowanych pstrokatą bramę z figurą kobiety o twarzy bezmyślnie zadowolonej i zuchwale zadartej do góry: „Chodźcie, chodźcie na ulicę Paryża, tam zobaczycie moje koleżanki, tam znajdziecie tłum nietylko z bulwarów miejscowych, lecz i różnych stron świata! Chodźcie, tylko wypchajcie dobrze kieszenie frankami.“ Taką zachętę niewątpliwie wypowiedziałaby owa postać, gdyby w nią tchnęło życie. Wchodzimy na ulicę Paryża i wpadamy odrazu w rozgardyasz bud jarmarcznych. Na estradach stoją piękności przekwitłe w strojach zachęcających kabaretowych lub cyrkowych, błazny potwornie oszpecone, muzykanci, dobosze itd. Wszyscy robią piekielną wrzawę, krzyczą, grają, bębnią, rozdają tłumowi płaskie, wytarte dowcipy. Kończą zaś zachętą: „Chodźcie na przedstawienie, patrzcie, słuchajcie, podziwiajcie. Kosztuje tylko parę franków.“ Budy te rozsiadły się koło domu, przewróconego fundamentem do góry a wieżami na dół, który nie wiem, czego jest symbolem: może kołowacizny pijackiej. Cały ten jarmark, ściągający na jaskrawe światło elektryczne ćmy nocne— kokoty paryzkie i tłumy ciekawych, rozłożył się w pobliżu najpoważniejszego działu wystawy—pałacu kongresów i muzeum ekonomii społecznej. Jest to istotnie ulica Paryża, z której wszakże cudzoziemcy wychodzą z pewnem niezadowoleniem i rozczarowaniem.

W miarę rozglądania się po wystawie, przychodzę coraz bardziej do przekonania, że jest tu przedewszystkiem na pierwszym planie wielka afera, którą Francuzi urządzili dla opróżnienia kieszeni cudzoziemców. Na każdym kroku handlarze i przekupnie, wszędzie drobne sklepiki lub przynęty, niespodzianki, figielki iście jarmarczne. Jadę na wieżę Eiffla windą i na pierwszem piętrze widzę restauracyę, której cenniki głoszą, że można zjeść śniadanie mniej więcej za jakieś 40 franków! Dalej na drugiem piętrze opanowują mię straganiarki, proponując różne drobiazgi „na pamiątkę“: scyzoryki z widokami wieży i pola Marsowego, ołówki, sakiewki, przyciski, karty pocztowe itd. Na trzeciem piętrze to samo. Karty pocztowe mają tam większy odbyt, gdyż na szczycie wieży istnieje całe biuro pocztowo-telegraficzne. Można więc swoje wrażenia, spisane doraźnie na kartce, rozsyłać na wszystkie strony świata z wysokości 280 metrów. Zresztą sklepikarstwo w Paryżu czyha na cudzoziemca wszędzie również po za obrębem wystawy. Istnieją stragany także na łuku tryumfalnym Gwiazdy, a nawet — w Panteonie!

Francuzi wiedzą wybornie, że wystawa sama przez się, poważna, uroczysta, dająca obraz duchowej i materyalnej pracy ludzkości, ściągnęłaby bardzo szczupłą garstkę gości. Stworzono więc różne przynęty, dla których głównie setki tysięcy ludzi przyjechały. Można opuścić gmachy na polu Marsowem, można pominąć pałac elektryczności, sekcye rolnictwa i produktów spożywczych, pałace: przemysłów chemicznych, mechanicznych, inżeneryi cywilnej i środków przewozowych, wychowania i wykształcenia, górnictwa i metalurgii, literatury, nauk i sztuk — ale nie można opuścić pałacu optycznego, świata podziemnego, starego Paryża itd. Kto to wszystko zwiedzi, kto jeszcze obejrzy *Palais de la femme*, czyli „Pałac Mody,“ kto zajrzy do Szwajcaryi sztucznej, pójdzie na olbrzymi młyn dyabelski, przejedzie się platformą ruchomą, ten już może śmiało się chwalić, że zwiedził wystawę. Sprytni Francuzi znają wybornie tę psychologię tłumów, więc nie szczędzili dla nich przynęty. Warto się przyjrzeć, gdzie te tłumy głównie ciągną. Zdaleka już widzimy zwarte masy kobiet, skupionych kolo witryn. To dział mody. Zobaczmy, jak każdej z nich żarzą się oczy, jak chciwie przez szkło pożerają te suknie piękne, wykonane z prawdziwym smakiem artystycznym i po mistrzowsku nałożone na lalki. To jest odrębny świat. Czy nastraja on widza lekko? Nie! Daje on rozległe tema-

---

do Bartka. Chłop zatrząsł się, przetarł oczy i wstał. Czarne widma odpływają z błyskawiczną szybkością i blednąc, konają w dali nieprzejrzanej, a tylko tuż przed nim, niezmiernie blizko, szarzeją odrapane ściany, błyszczą białe krokwie i tkwi nieruchomy, sztywny jak metal, postronek. W jednej chwili Bartek uczuł niezmiernie jasno całą swoją nędzę, więc mrugając oczyma, począł szeptać cicho a prędko:

— Zawieszę się i będzie dobrze. Nie będę cierpiał głodu, a w piekle będzie ciepłej. Pomógłbym wam z drogiej duszy, ale nie zdolę, nie... Niech was Panieziis błogosławi, samem nie jadł już nie pamiętam kiedy; — zatoczył się i chwycił za postronek.

W tej chwili uderzył głową o zimną, gładką ścianę i strach wyprostował mu włosy. Poczem przeżegnał się i jednym susem wybiegł z boiska. Pędził, nie oglądając się i przeskakując kałuże błota. Z za płotu lunął wiatr halny i zmiótł mu czapkę.

— W imię Ojca i Syna i Ducha... leci wszystko ze mnie, jak z trupa. Dobrze, że nie wpadła do błota. Uuuu... kusi mnie rogaty, ale jeszcze poczekam — cóż to dziś, wielga sobota, jutro wielga niedziela.

Na progu sieni stała pięcioletnia Marysia, obtargana aż strach. Trzęsła się, jak zmokła wrona i płakała głośno.

— Co się krzywisz, chybaj do izby, zmoro, bo zmarzniesz!

Popchnął dziewczynę, otworzył ze złością drzwi i wszedł do zaczadzonej izby. Nie patrząc na nikogo, siadł przy oknie i dumał długo. Po pewnym czasie spojrzał w kąt na łóżko i na chorą, okrytą starym kożuchem. Leżała taka blada, że widać było sieć błękitnych żyłek na jej twarzy. Patrzyła ogromnemi oczyma na chłopa i dyszała. On spozierał od czasu do czasu to na nią, to na chromą kołyskę, w której spał mały Jasiek, skomląc przez sen niby szczenię. Naraz kobieta zaczęła kaszleć i szarpać się na posłaniu. Piana krwi zarumieniła jej wargi. Chłop wstał i podszedł do łóżka.

— Gorzej ci?

Kobieta milczała, dysząc tak ciężko, że aż świstało. Chłopa porwała złość.

— Dziękuj Bogu, że nie masz smaku i nie czujesz głodu. Leżysz i leżysz ciągiem, a mnie się już zdaje, że... Dyabli rogaci widzieli chorować tyle...

Patrzyła przerażona, a on gonił po izbie.

— To ja mam być zdrowy, co robię, jak wół! Rok już leżysz i trzymam cię jak obraz. Do pieronа z taką babą. Inne też robią a nie leżą. Konasz i konasz od pięciu miesięcy, inna by już skrepirowała — ona się uparła! Słuchaj, abo w te, abo w te strone, umieraj, abo co... Przeniosłaś mi całą chudobe. Jak skończysz, to ja i dzieciska pójdziemy chocia z torbami; słyszysz, flądro!..

Ogarniała go złość coraz większa.

— I cóż se ty psia myślisz, że la ciebie się wszyscy pomarnimy! Dzieciska wczora głodne posnęły, a dziś łupiny z rzepy ogryzały. Konaj, chorobo, bo już na leki nie mam, a ze siebie nie ułupię, konaj!..

Skoczył do niej z pięścią. Chora leżała bezwładnie; piersi jej podnosiło coraz szybsze dyszenie. Z czarnych, podkrążonych gorączką oczu, potoczyły się jak groch ciężkie, przezroczyste łzy, lały się na poduszkę i gradem sypały na podłogę.

Chłop zawstydził się, zasłonił oczy, następnie schylił się i mówił cicho:

— Nie płacz, Oleśka, nie płacz. Już sam nie wiem, co robię. Ani zarobku, ani ratunku nijakiego. Nieba bym ci przychylił, słowa marnego nie powiedział, ale zarobek się skończył, pożyczyć nikt nie chce nijakim światem; prosić już nie śmiem. Krewni patrzą na mnie, jak na zbója, za to, że chucham na cię jak na palec i dzieci rodzone krzywdzę.

Głos mu zmiękł, chwyciło go rozrzewnienie i żal. Wstał i wyszedł powoli do sieni. Oparł się na gnacie, wytarł oczy i znów pogrążył się w myślach jałowych, bezowocnych. Wiedział, że nikt go nie wesprze. Za robotą na drugą wieś nie pójdzie, bo uroczystość... choć ziemię gryzł. Mówił mu rano jakiś człowiek, że Kopela chodzi po wsi za szynkarzem, bo i żydy mają święta w niedzielę. Kto wie, czy znalazł, czy nie znalazł.

— Do karczmy jutro i tak nie pójdę szynkować, bo by mnie proboszcz wyklinał i rozgrzeszenia nie dał, a możeby plebana...

ty do rozmyślań. To jest nietylko obraz swego rodzaju sztuki i zbytku, draperyi żywych ciał. To jest zarazem obraz pewnej dziedziny ekonomicznej i socyologicznej; tło dramatów życiowych i łez. Patrzę na piękną suknię — strój królowej, z którego wychyla się zalotna twarz lalki woskowej, i na kobietę żywą, pilnie wpatrzoną w ten przedmiot marzeń i pożądania. Na twarzy jej grają różnorodne wzruszenia i w końcu wydobywa się z piersi głębokie westchnienie, które zamienione na słowa, mówi: „Wszystkobym za to oddała!...“

Nieco dalej — inne przedmioty pokus: brylanty. Jeden z nich — znacznej wielkości kręci się nieustannie pod szkłem na szpilce i odbija w sobie błyszczące oczy tłumów kobiet. Ile on tu ich ściągnął!

Dla Francuzów jest rzeczą obojętną, jak tłumy oglądają wystawę. Dają one środki do pokrycia nakładu — to najważniejsza. Pisma skrzętnie notują cyfry osób. W dni świąteczne przechodzi przez bramy wystaw *pół miliona* osób, w powszednie — po dwieście i więcej tysięcy.

Kto się oprze pokusom i zachętom, lub kto ma dużo pieniędzy i czasu, ażeby im uledz, ten zwiedzi wystawę gruntownie i wyniesie z niej istotną korzyść. Można tam nietylko się bawić, ale i pracować. Jedno tylko Muzeum ekonomii społecznej potrafi zatrzymać na długo.

Specyalny korespondent *Prawdy* zapozna czytelników z tymi poważnymi działami pracy i myśli ludzkiej. Ja zaś, zachowując na później parę tematów odrębnych, rzuciłem tymczasem drobną wiązankę wrażeń luźnych.

Na zakończenie tylko dodać muszę, że wystawcy polscy wogóle zajmują bardzo skromne miejsce, a nawet ci, którzy rozporządzają odpowiednimi środkami, nie potrafili się wysunąć tak, ażeby ich dostrzeżono lub wyróżniono. W dziale sztuki Francuz lub inny cudzoziemiec nie znajdzie Polaka, jakkolwiek będzie się przyglądał jego obrazom. W dziale przemysłu jest kilka witryn, urządzonych niedbale. Sklepy pierwszorzędne w Warszawie lepiej umieją urządzać swoje wystawy w oknach. Nawet górnictwo i wielki przemysł fabryczny nie wysiliły swojej energii w tej mierze. Kopalnie, oprócz kilku kawałków węgla i paru tablic pobieżnych, prawie nic nie dały; a ktoby się chciał czegokolwiek dowiedzieć, próżno będzie szukał języka. Ani przedstawicieli, ani broszur, ani sprawozdań. Pod tym względem już o wiele wyżej stoją nasze wystawy prowincyonalne. Jedna tylko Huta Bankowa wystąpiła staranniej. Następnie w dziale górniczym zwracają na siebie uwagę roboty świdrowe inż. Z. Woysława, wystawione przez inż. Zyg. Kotarskiego. Mamy tutaj nietylko narzędzia i postępy robót, lecz dokładne mapy, książki, broszury i wreszcie przedstawiciela świadomego rzeczy. Jest to dziedzina pracy niewyzyskana dotąd. U nas widzimy ją zaledwie w fazie zarodkowej; jeżeli będzie się rozwijała należycie, może stworzyć w przyszłości nowy okres życia ekonomicznego, które czerpać będzie energię z głębi ziemi.

Zenon Pietkiewicz.

Z NIEMIEC.

Berlin 20 Czerwca.

Bracia Juliusz i Henryk Hartowie należą do obozu „młodych“ zwanego na mocy przyzwyczajenia tak dla tego, iż niegdyś, przed laty kilkunastu skupiał wokoło siebie idącą przebojem młodzież literacką. Dziś reprezentuje on kilka uznanych talentów, pstrą czeredę rozgoryczonych rozbitków, którzy wciąż jeszcze szukają portu sławy i uznania na swych wątłych nieustannie łatanych łodziach programowych oraz bandę korsarzy gazeciarskich, strzelających z za węgla reporterskiego na tych kolegów, co szczęśliwie wygramolili się na wyżyny rozgłosu. „Es ist eine alte Geschichte“. Hartowie nie należą do rzeszy bezdomnych Odyseuszów. Przycupnęli oni sobie spokojnie w jednym z kątów świątyni uznania, skąd jako krytycy ogłaszają swe biuletyny literackie a sprawozdania te po dziś dzień nie przestały cieszyć się poczytnością dzięki temu, iż Hartowie nie uznawali pierwszego przykazania w obrębie swej wiary literackiej; bogów i bożków zmieniali podług pogody i powiewów wiatru a przedewszystkiem starali się wszystko zrozumieć i wszystko wybaczyć. Niegdyś Hartowie, podobnie jak cały obóz „młodych“, hołdowali ewangelii idei społecznej; było to wtedy, kiedy literatura lubowała się w odtwarzaniu świata nędzy i pracy, a Hauptman wystawił epokowych „Tkaczy“ i cudną „Hanusię“. Lecz stary dzwon został zatopiony i odtąd z wieży literackiej „młodych“ płyną coraz częściej dźwięki „upojenia Dyonyzyusza“ i mistycznej tęsknoty religijnej. Temu prądowi ulegli i Hartowie i w myśl jego ogłosili obecnie z Synaju literackiem nowych dziesięcioro przykazań zwanych „Państwem ziszczenia“. Jest to szereg prac dążących do sformułowania nowego religijnego poglądu na świat, obejmującego zarówno ostateczne zagadnienia filozofii dotąd nierozwiązane i podług Kanta absolutnie nierozwiązalne, jako też palące kwestye życia współczesnego. Słowem, prabyt i dzień dzisiejszy splotły się w tej „nowej religii“, jak opiewa skromnie stempel fabryczny, wytworu umysłowego Hartów. W krainę odwieczną wiedzie nas rzecz „O najwyższej wiedzy“, sprawy doczesne omawia traktat „O życiu w świetle“. Hartowie nie ukrywają bynajmniej, iż nowa prawda, zaczerpnięta z rozmaitych i najbardziej różnorodnych źródeł. „Pokrzepialiśmy się, zapładniali i święcili wodą z rozmaitych źródeł; zapożyczyliśmy od Chrystusa i Buddhy, Zarathustry, i Mojżesza, Epikura i Zenona z Biblii i ksiąg Weddów—a to wszystko w celu uzdrowienia ludzkości, która, podług Hartów, dotychczas nie przejrzała. „Wszystkie czyny nasze są chaotycznem postępowaniem“. Nie wiemy, co robimy i prowadzimy żywot, który nosi piętno najsurowszego barbarzyństwa i uczuć zwierzęcych“. Przedewszystkiem zaś, zdaniem Hartów, przebija połowiczność lub dwoistość we wszystkich usiłowaniach ludzkich, skierowanych ku poznaniu świata. I tu, jak w innych wypadkach Hartowie starają się pogodzić sprzeczności i spoić rozliczne czynniki kitem harmonii. Dotychczasowa filozofia opierała się, według Hartów, bądź wyłącznie na rozumie, bądź rozwiązywała ła-

---

Chwycił się oburącz tej myśli, ale zaraz przypomniał sobie niedawny proces proboszcza z gminą. Ksiądz przegrał i zapłacił komisyę, ale odtąd się zamknął i do ludzi nie gada, tylko z ambony.

— Nie mam go co prosić, nie mam. Jakby sam dał, toby dał, ale nie prosić, taki ślachcic. Ej, miły, mocny Boże, na co ja to zeszedł, na co...

W tej chwili skrzypnęła zaworka i do sieni buchnęła z światłem siwa zawierucha. Bartek ujrzał we drzwiach kroguleczą twarz Jojny i usłyszał przyjazny głos:

— Dobre rano, Bartłomieju.

— Na wieki wieków, witajcie!

— No, co u was słychać nowego, panie Galik?

— Co mi ta panujecie, ja biedny dziad, nie gazda... Powiedzcie, co wam trza.

— Ojoj, czego mnie nie trza, mnie trza wszystkiego. Na co wy się Galik tak spieszcie, wy lepiej mówcie, jak się ma wasza. Ja słyszał, że wy nie macie co jeść. Mnie mówił cyrulik — no, ten wojtek, że onej jest gorzej, że wy potrzebujecie zarobku na jutro, a może i na pojutrze.

— Dajcie pokój, Jojno! Wy wiecie, że w święto nie będę Boga obrażał, bo by mnie pokarał. Czy ja to Żyd, abo Turek?..

— No, czy ja wam to mówię? Obrażał, obrażał — a dzieciom i chorej nie dać jeść, to nie obrażał! Wiecie, Galik, co, ja mam litość la was, ja wam zapłacę po sześć szóstek na dzień. Zadatek zaraz bierzcie, no, zgoda? Trzy dni, to jest prawie całkiem dwa guldeny.

— Darmo — wo wielgą niedzielę nie szynkuję!

— Galik, wy miejcie litość nad babą i nad dziećmi. Co one będą jeść, ten torf, co go macie pod okapem, albo te kamienie? Wy się bójcie Boga! Co one winne, że one głodne? Wy, Bartek, miejcie Boga w sercu.

Chłopu zaświtały w oczach ponure blaski. Rozumiał, że chora i dzieci torfu jeść nie będą.

— Kielo dacie?

— Mnie jeden człowiek chciał szynkować za pięć szóstek, a ja poszedł do was, bo ja wiem, że wyście w potrzebie; ja wam jeszcze dokładam do pięć dudków...

— Nie kpijcie, Jojno.

— Wy nie chcecie te pięć dudki?

— Dacie osiem szóstek?

— Po co wy Galik taki mądry, owa! Wy wiecie, że ja też biedny. Czy ja tak samo nie mam żonę i dzieci?

— Kiedy nie chcecie, to nic...

— Wy, Bartek, macie szczęście, że ja mam akurat osiem szóstek przy sobie! Skąd wyście to, wiedzieli? Wy będziecie wójtem, żeby ja taki zdrów był.

Sięgnął do kieszeni i z trudem odliczał z przygotowanego guldena potrzebną kwotę. Tymczasem chłop wlepił oczy w ziemię i bił się jeszcze z myślami.

— Nie, Żydzie — duszy tracić nie będę. Nie chcę iść na potępienie. Nic z tego, nic szukajcie.

Żyd porwał ze złością laskę i zapinał chałat. Skierował się do drzwi. Bartek patrzył za nim i miał minę konia, który tonąc, wyciąga jeszcze pysk rozpaczliwie, ale czuje, że już nadeszła godzina, więc kadłubem opuszcza się na dno i ku niebu wytrzeszcza oczy łzawe, beznadziejne...

— Hej, Jojno! Wróćcie się, dawajcie pieniądze!..

— No, czy ja wam nie powiedział, że wy będziecie wójtem?

Żyd opuszczał chałupę rozpromieniony. Obszedł już był prawie całą wieś, ale chłopi umówili się. Byłby dał Galikowi chętnie i guldena, i więcej.

Nazajutrz słońce złocistą łuną oblało fioletowe góry, blaszany dach kościoła i kwieciste chustki góralek. Wszyscy radują się, iż ze zmartwychwstałym Chrystusem zmartwychwstała i wiosna. Pogoda śmieje się czarownie do ludzi, niby dziewczyna do chłopców starających się o nią. Tylko proboszcz spaceruje smutny po ganku. Tyle razy błagał, aby ludzie szanowali dzień boży i nie wynajmowali się Żydom w święto — tymczasem znowu znalazła się parszywa owca...

A w karczmie garbatego Jojny siedzi z szynkwasem pijany Bartek Galik, wyśpiewuje sprośnie, odgraża się Bogu i bluźni. Mała Marysia siedzi na ławie koło pieca, gryzie powoli macę — i patrzy na ojca.

migłówki wszechbytu drogą doświadczalną i zmysłową. Hartowie, chcąc uniknąć Scylly i Charybdy, rzucają się w objęcia panteizmu, gdzie wszystko zlewa się w jedność, gdzie niemasz rozdźwięków ani dwoistości, ani mnogości. Starą metodę godzenia i rozwiązywania wszelakich wątpliwości za pomocą pięknie brzmiącego lecz mglistego wyrazu, Hartowie dochodzą do nauki o wiecznem przeistaczaniu się i odmładnianiu wszystkiego ziemskiego, stanowiącego jedną, jedyną nierozdzielną „Świato-jaźń" (Welt-Ich). Metoda Hartów różni się od Spinozowskiej tem, że w „Etyce nieśmiertelnego żyda hollenderskiego" mamy do czynienia z wyrazami prostymi jak „Bóg" i „przyroda" podczas gdy sklecona „Świato-jaźń" zdradza białe szwy nieudolności i fuszerki umysłowej. *Takim* sposobem rzeczywiście zadziwiająco łatwo wszystko da się zrozumieć.

A teraz zobaczymy, jak można wszystkim wszystko wybaczyć. Hartowie bynajmniej nie rzucają zasłony różowej na liczne smutne objawy naszego życia. Nieubłaganie i szczerze wytykają bolączki i przewrotności społeczeństw ludzkich: Oto ustęp np z katalogu grzechów naszych „Przeżyty duch kastowy, żądza niszczenia, separatyzm, rozgoryczenie, nieustanna walka wszystkich przeciwko wszystkim, mord w formie przestępstwa kary śmierci, wojny i pojedynku, a zemsta i postrach pod płaszczem sprawiedliwości". Na to istnieje jedyny środek. „W ciemności te wnosi wiadomość o „Świato-jaźni" pocieszające i uzdrawiające światło. Wszystkie te bolesne przeciwieństwa pomiędzy światem a naszem „ja", pomiędzy indywidualizmem i socyalizmem, narodowością a ludzkością, konserwatyzmem, i postępem, fanatyzmem a tolerancyą, ascetyzmem i zmysłowością, optymizmem i pesymizmem,—wszystkie są wyrównane tak, iż przestajemy obawiać się tych potęg". Ta wiedza powstrzymuje nas od sądzenia i osądzania, uczy nas godzić i łączyć oraz umożliwia „dotkliwość tych przeciwieństw odnajdywać w pojęciach miast w rzeczywistości". Ponieważ nowofabrykowana „religia" poucza nas, iż złe tkwi tylko w pojęciach naszych, to pozostaje nam, podług apostołów Hartów, dla odzyskania spokoju i zadowolenia starać się zrozumieć innych i wznieść się w ten sposób do szczytu tolerancyi. „Porozumieć się"—takie oto hasło ma ocalić ludzkość. Szkoda tylko, że autorowie nie dali nam bliższych wskazówek w tej mierze. Bo jeżeli np. jedna grupa społeczna, wbrew Hartom, nie zechce jednak zrozumieć drugiej, to czy jej nie pozostaje nic innego, jak pojąć, dlaczego tamta jej nie chce zrozumieć? W takim razie wszelkie pozostawianie świata „własnemu" biegowi rzeczy i przyglądanie się najwzniőślejszym dramatom życia ze spokojem olimpijskim lub bohaterskie kiwanie palcem w bucie można tak samo nazwać wszechrozumieniem i wszechpobłażliwością. Od tego uniwersalnego racyonalizmu krok tylko do rozgrzeszania wszystkich od wszystkiego, a stąd tylko ręką sięgnąć a jesteśmy na stanowisku fakirów, rozmyślających nad Nirwanną, gdy ptaki wiją gniazda na ich głowach. Hartowie obiecują sobie pomimo to bardzo wiele po nowej recepcie społecznej. „W ten sposób stworzymy życie nowe, pełne doskonałości: nasza tęsknota i marzenia nasze ziszczą się. Nie za tysiąc lat, nie za 500, lecz za jednym zamachem przez noc, powołano do życia wiek złoty, a wtedy nasza religia i nabożność, moralność i obyczajność, nauka i sztuka, tworzą cuda jak tego dokonała w wieku bieżącym technika". W szczere chęci Hartów trudno nie wierzyć. Za wyraźnie dźwięczy w ich słowach nuta obrzydzenia dla nikczemności życia, ból niekłamany, głęboki wieje z ich skarg, a wiara w cudotwórczość odkrytego lekarstwa tchnie prawdziwym zapałem serc stęsknionych. Lecz tego rodzaju nawoływania do ugody i zgody pozostaną płonnemi, dopóki wyższa moralność nie przeniknie do tych sfer niemieckiego społeczeństwa, którym najbardziej zbywa na poczuciu społecznem. Ogół niemiecki już dawno przestał wierzyć w skuteczność oliwnych gałązek. W ostatnich dwu latach pewien odłam stronnictwa krańcowej lewicy pod wpływem Edwarda Bernsteina, zwolennika ruchu etycznego, zaczyna skłaniać się ku zdaniu, iż formy walki wewnątrz społeczeństwa należy złagodzić. Ale stąd do kwietyzmu jeszcze bardzo daleko. Jak trudno dadzą się na glebie tutejszej zaszczepić tego rodzaju hasła pokojowe, świadczy los posiewu społecznego zmarłego w przeszłym wieku pułkownika Egidiego. Dopóki żył mistrz, ta czysta święta dusza, ten mąż bez pozy i fanfaronady, bez krzyku i obłędu wielkości, liczono się jako tako z jego zasadą „Pogodzenia" (Versöhnung). Przed samym Egidym w ostatnich czasach powszechnie chylono głowę za to, iż niczego nie owijał w bawełnę dyplomatyczną, iż nie uganiał się za popularnością, nie chciał imponować ani schlebiać tłumowi, jakkolwiek całe swe życie, majątek, spokój, karyerę i szczęście poświęcił dobru maluczkich bez różnicy wyznania politycznego. Szanowano i kochano człowieka, nie jego zasadę. Konserwatyści i zwolennicy burzycielskiego Landauera jednakowo go uwielbiali; gdy zmarł powołany do życia ruch ugrzązł w bagnisku frazesów, a hasło porozumienia się za wszelką cenę stało się wyrazem naiwności polityczno-społecznej.

H. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Muzeum przemysłu i rolnictwa.

W [illegible] odbyło się pierwsze zgromadzenie ogólne członków Muzeum, które na podstawie nowo zatwierdzonej (w marcu 1899 roku) ustawy z instytucyi zamkniętej przeobraża się poniekąd w instytucyę publiczną. Ustawa rozszerza też znacznie zakres działalności Muzeum, bardziej celowej a owocniejszej pracy widnokręgi otwiera i do współudziału nader szerokie sfery inteligencyi naszej z przemysłem lub rolnictwem tak lub inaczej, blizko czy daleko związanej — zaprasza.

Muzeum istnieje już lat 25, ale rzeczywiścia poważna działalność jego zaczyna się właściwie w r. 1885, kiedy to przeniesione zostały zbiory muzealne do własnego obszernego gmachu na Krakowskiem Przedmieściu. W tym okresie ostatnich lat piętnastu urządzono w Muzeum ogółem 16 wystaw (6 wyrobów przem. i rzemieśl., 8 rolniczych, wystawę dzieł sztuki i wystawę wyrobów metalowych), w których uczestniczyło 2,292 wystawców. *Pracownia chemiczna* dokonała około 3 tysięcy analiz, co zaś ważniejsza, umożliwiła doskonalenie się w zakresie chemii praktycznej i teoretycznej 113 młodym pracownikom zakładów przemysłowych, którzy mogli korzystać z opieki i wskazówek p. Milicera. — *Stacya oceny nasion* zbadała zgórą 7 tysięcy prób różnych nasion. Istniejąca od r. 1877 pod nazwą Sal rysunkowych instytucya, w r. 1892 otrzymała charakter samodzielny pod nazwą Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej. — *Stacya meteorologiczna* (od r. 1885) stanowi stacyę centralną dla 36 mniejszych, rozrzuconych na całym obszarze Królestwa Polskiego.— *Pracownia fizyczna* (od r. 1887) mająca na celu sprawdzanie dokładności przyrządów i narzędzi fizycznych, tudzież dla dokonywania badań naukowych w zakresie fizyki, poczyniła 600 sprawdzeń; pracowało tam 56 osób. Pracownia przestała istnieć w roku 1895, inwentarz jej włączono do zbioru *oddziału odczytów*, który dawniejszymi laty funkcyonował ospale, a w ostatnich kilku latach zajął najbardziej ruchliwe stanowisko w szeregu instytucyj muzealnych. W latach 1897—99 urządzono 69 odczytów doświadczalnych, popularnych, objaśnianych obrazami niknącymi. Wystąpiło 18 prelegentów, średnio na odczycie było 400 słuchaczy *). — W r. 1888 rozpoczęto wydawnictwo „Encyklopedyi rolniczej," która ma być skończona w roku przyszłym i będzie w znacznej części stanowiła niezmiernie poważne źródło pomocy naukowej dla ziemian naszych. — Wcale niepokaźnie przedstawiają się zbiory muzealne, liczące ogółem zaledwie 2,000 okazów; smutnym jest stan biblioteki, która nie wiadomo dlaczego jest przez Muzeum traktowana po macoszemu (zaledwie 1,778 tomów dzieł po największej części starszych), podczas gdy na tę instytucyę powinna być zwrócona pierwszorzędna uwaga. Ogólnemu brakowi u nas bibliotek publicznych, naukowych, wywołanemu często brakiem funduszów, albo przeszkodami natury formalnej, tutaj można doskonale zaradzić; w tym kierunku działalności Muzeum ma przed sobą wdzięczne do spełnienia zadanie. — W r. 1894 przelał dr. Ludwik Natanson na rzecz Muzeum nieruchomość nr. 5291 przy ul. Składowej, zbudowaną na szkołę i warsztaty rzemieślnicze z funduszów zbiorowych, przekazując zarazem wszystkie urządzenia, ruchomości i kapitały przywiązane do b. szkoły rzemiosł przy ul. Jasnej, wszystko to obciążone jedynie sumą 14,000 rb., pożyczoną od Tow. dobroczynności na wzniesienie budowli. Po załatwieniu formalności prawnych i uporządkowaniu stosunku Muzeum do p. Jana Kühna, koncesyonaryusza szkoły rzemiosł przy ul. Jasnej, komitet, nie mając na razie prawa prowadzenia nadal warsztatów naukowych pod kierunkiem p. A. Rakowskiego, podówczas tam istniejących, zniewolony był warsztaty zamknąć do czasu wyjednania odpowiedniego zezwolenia władzy. Nie dopuszczając, aby gmach stał chociażby chwilowo pustką, komitet wydzierżawił w r. 1895 całą nieruchomość na pomieszczenie nowo założonej szkoły średniej mechaniczno-technicznej. Po przeniesieniu zaś tej szkoły w r. 1897 do własnego gmachu— w nieruchomości przy ul. Składowej znalazły czasowe pomieszczenie: szkoła realna prywatna p. E. Konopczyńskiego, pracownia doświadczalna z kursami piwowarskimi, główne laboratoryum cukrownicze i wieczorne sale rysunkowe w Muzeum rzemiosł. Nie zapominając jednak o zasadniczem zadaniu urządzenia i prowadzenia w tej nieruchomości praktycznej szkoły rzemiosł lub szkoły technicznej, komitet poczynił starania, aby uzyskać odpowiednie zezwolenie, co w zasadzie teraz osiągnięto w zmienionej ustawie Muzeum, której § 4-ty wyrzeka: „Warszawskie Muzeum przemysłu i rolnictwa może otwierać w Warszawie zakłady naukowo rzemieślnicze lub techniczne." Wobec tego komitet zajęty jest opracowaniem najbardziej pożądanego typu praktycznej szkoły rzemiosł. Na założenie w Warszawie praktycznej szkoły rzemiosł otrzymało Muzeum z zapisów

---

*) Przy tej sposobności zwracamy raz jeszcze uwagę sekcyi odczytowej na projekt seryi odczytów najbliższych, który wyłożyliśmy w artykule „University Extension."

ś. p. E. P. Czabana 25,000 rb. W r. 1898 spadkobiercy dr. L. Natansona ofiarowali Muzeum fundusz wieczysty imienia dr. L. Natansona w ilości rb. 5,000, którego odsetki są przeznaczone dla utrzymujących się z pracy rąk własnych, zajmujących się rzemiosłem lub drobnym przemysłem, we własnym lub cudzym warsztacie, jako zapomogi na zakup narzędzi i niezbędnych materyałów, jak również na wydoskonalenie się w rzemiośle. Komitet wypłacił dotąd dwukrotnie zapomogi sześciu rzemieślnikom."— Najmłodszą względnie do czasu istnienia instytucyą muzealną jest *pracownia geologiczna*, mająca na celu gromadzenie materyału do ułożenia mapy geologicznej Królestwa Polskiego. — Dochody Muzeum wyniosły w roku sprawozdawczym 11,693 rb. (w tem 8,232 rb. z wynajmu lokali, ze składek członków *zaledwie* 1,787 rb.), wydatki — 3,808 rb., bilans zamyka się cyfrą 400 tysięcy rubli. Członków założycieli liczy Muzeum 16, rzeczywistych 194, członków protektorów (niewybieralnych do komitetu) 107.

Daremne zabiegi.

Co pewien czas, w odstępach rocznych, kwartalnych albo i miesięcznych, przypomina *Gazeta sądowa* prawnikom naszym, że zbyt mało pracują teoretycznie; że ich przygotowanie naukowo do zawodu praktycznego jest zbyt słabe; że nabyte na ławce uniwersyteckiej wiadomości i poglądy skostniały; że cały nakład pracy włożony w ich wykształcenie przez społeczeństwo nie przynosi żadnych owoców, był tedy chybiony itd., pod różną formą, w różnych tonacyach i kluczach — od ironicznego *staccato* aż do ponurych akordów marsza żałobnego — powraca ta sama melodya. I wszystko napróżno! Podziwiać doprawdy należy wytrwałość organu naszego prawnictwa w tem nawoływaniu do poprawy, w tem budzeniu ospałych i obojętnych. Kamienna Galatea pozostaje bez zmiany bryłą zimną, nieczułą; nie wskrzesi jej do życia namiętna prośba kilkunastu ideologów. Pomyślmy tylko, że od czasów założenia Szkoły Głównej aż do chwili obecnej otrzymało u nas wyższe wykształcenie prawne co najmniej 3,000 ludzi; cała wiedza, jaką reprezentuje ta armia pracowników zawodowych, wsiąkła do organizmu naszego życia umysłowego, a w rezultacie arytmetycznym... — po co rzecz nazywać po imieniu?! Bibliografia dorobku naukowego w zakresie „prawa" wykazuje w porównaniu z innymi działami wiedzy przerażający *minus*. Jedyny organ prawniczy choruje na stałą anemię, której przezwyciężyć nie są w możności najlepsze wysiłki kilkunastu ciągle tych samych, wiernych, niestrudzonych pracowników. Nie mówię nam nic o wpływie zawodu praktycznego, który wszystkie najlepsze siły wyzyskuje, o walce o chleb powszedni, która wyżera najdroższe i szczere chęci do pracy poważnej! Te czynniki działają wszędzie, a im dalej na Zachód tem działają silniej, bardziej wytrwale i nieubłaganie. A jednak — w Niemczech, w Anglii, we Francyi, we Włoszech—iluż widzimy prawników „adwokatów" na katedrach uniwersyteckich, na trybunie parlamentarnej; ileż ich prac mieszczą dziesiątki i setki organów naukowych prawa!

W ostatnim numerze *Gazety sądowej* znowu zaintonowano stały *leit-motiv*. Nazywa on się „ostrzeżenie," a autor szczerze przyznaje, że „zarówno w dziedzinie filozofii prawa, jak i w dziedzinie wyższych uogólnień specyalnych, lub nawet prostego komentowania przepisów obowiązujących — nie mamy żadnych podstaw naukowych i tak już przywykliśmy do tego stanu, że nauka stała się dla nas zupełnie niepotrzebną." „Cała nasza atmosfera prawnicza jest tak nienaukowa, tak pozbawiona wszelkiej głębszej podstawy, tak praktyczna i rutyniczna, że grozi nam zupełną zagładą ducha i poczucia prawa." „Prawo u nas, zagarnięto niemal wyłącznie przez praktyków, odznacza się tą przypadkowością, która cechuje wszelką praktykę. Wszelki związek pomiędzy zjawiskami prawnemi z jednej, a pomiędzy niemi i życiem z drugiej strony znika śród powodzi szczegółów, drobiazgów, celów chwilowych. Dla zasad ogólniejszych niema tu miejsca... Biada społeczeństwu, którego nawą kierować będą wyłącznie praktycy!"

Po tem co powiedzieliśmy wyżej wszelkie komentarze są zbyteczne. Ale nasza „śpiąca królewna" — śpi, śpi — i nie znalazł się jeszcze królewicz, coby ją umiał do życia, do pracy obudzić!

Towarzystwo ochrony kobiet.

„Zbiór praw i rozporządzeń" z roku bieżącego zawierał „Ustawę Towarzystwa ochrony kobiet w Petersburgu." Pod wpływem tego bodźca prawodawczego, a także za sprawą ogólno-europejskiej akcyi ratunkowej, zwróconej do kobiet upadłych, do handlu dziewczętami itd., powstała jednocześnie i u nas w kilku niezależnych od siebie kołach myśl stworzenia w Warszawie „Towarzystwa ochrony kobiet." Nie chcąc rozpraszać uwagi społeczeństwa na różne strony, inicyatorowie próbowali zjednoczyć swoje wysiłki, ale wkrótce zrozumieli, że niepodobna im pracować razem i rozeszli się. Akcya rozwodowa odbiła się echem w prasie naszej i wyłoniła, jak dotąd, dwa dokumenty w formie listów zwróconych do redakcyi *Kuryera warszawskiego*, które przedrukowujemy nie tyle z obowiązku kronikarskiego, ile dlatego, że posiadają niezaprzeczoną wartość historyczną dla socyologa i psychologa.

P. Waydel, adwokat, pisał:

„Z powodu wzmianek o projektowanem Towarzystwie ochrony kobiet, pozwalam sobie objaśnić, że współrzędnie i niezależnie od inicyatywy w tym kierunku hr. Przezdzieckiego i dr. Zawadzkiego, podjąłem tę samą myśl w innem gronie.

Skoro wiadomość o tem dostała się na szpalty dzienników, hr. Przezdziecki zaproponował mi połączenie się i wspólne opracowanie projektu. Rezultatem tych narad był projekt Towarzystwa ochrony kobiet, który jednak następnie na zebraniu u ks. Czetwertyńskiego przedstawiono pod zmienionym tytułem Chrześciańskiego Towarzystwa ochrony kobiet. W toku rozpraw *i na wniosek red. Libickiego wprowadzono dalszą jeszcze zmianę nazwy na katolickie Towarzystwo ochrony kobiet.*

Uważając, że opieka nad kobietą jest przedewszystkiem obowiązkiem społecznym bez względu na jej wyznanie nawet z chrześciańskiego punktu widzenia, proponowałem uogólnienie nazwy Towarzystwa i dopuszczenie wszystkich do udziału w jego pracach.

Przeważyło inne zdanie, wobec czego i czyniąc zadość potrzebie stworzenia instytucyi opieki dla wszystkich kobiet, wracam do pierwotnego mojego projektu, który mam nadzieję doprowadzić do skutku."

W odpowiedzi na to ogłosił pan hrabia Przezdziecki obszerny komunikat o następującem brzmieniu:

„Kiedy przeczytawszy wzmiankę o projektowanem Towarzystwie „Zielonego krzyża," zaproponowałem p. E. Waydlowi połączenie się w pracy nad ochroną kobiet, miałem wszelką zasadę do przypuszczenia, że Towarzystwo, działające pod godłem krzyża, będzie chrześciańskiem.

Projekt ustawy Towarzystwa ochrony kobiet, opracowany przeze mnie wspólnie z dr. J. Zawadzkim a zakomunikowany przez nas p. E. Waydlowi, zatytułowany był w samej rzeczy „Towarzystwo ochrony kobiet," bez dodania „chrześciańskie," ale zawierał paragraf treści następującej: „Towarzystwo składa się z nieograniczonej ilości członków płci obojej wszelkich wyznań chrześciańskich," co stwierdziło bezsprzecznie cechę chrześciańską Towarzystwa. Egzemplarz zaś, przedstawiony na zebraniu u ks. Czetwertyńskiej, zatytułowany był „Chrześciańskie Towarzystwo ochrony kobiet," co wobec uprzedniego istnienia powyżej przytoczonego paragrafu nie zmieniało cechy Towarzystwa, lecz tylko ją uwydatniało. Uwydatnienie to potrzebne się okazało z powodu, że na tem zebraniu miano zdecydować, czy niechrześcianie mogą należeć do założycieli Towarzystwa, a przez to Towarzystwo ma być pozbawione cechy wyznaniowej, czy też projektowana ustawa, wyłączająca niechrześcian, pozostanie bez zmiany, a Towarzystwo utrzyma cechę Towarzystwa chrześciańskiego.

Wreszcie zgadzam się w zupełności ze zdaniem p. E. Waydla, że opieka nad kobietą bez względu na jej wyznanie jest obowiązkiem społeczeństwa i że chrześcianin ma prawo i obowiązek przyjść w danym razie z doraźną pomocą kobiecie niechrześciance, a niechrześcianin tak samo postąpić powinien z chrześcianką, na czem polega właściwy samarytanizm. Z tego wszakże nie wypływa, aby skład Towarzystwa ochrony kobiet, a przedewszystkiem skład zarządu mógł być złożony z chrześcian i niechrześcian bez narażenia działalności Towarzystwa na powierzchowne i nietrwałe rezultaty. Chrześcianie posiadają wspólną podstawę działalności *w moralności chrześciańskiej* i wspólny bodziec w *miłości bliźniego*, która zagrzewa i zjednywa serca. W zarządach mieszanych moralność chrześciańska i miłość bliźniego ustępują miejsca *etyce i filantropii*, które to pojęcia mogą powstrzymać od hańbiących postępków i zniewolić do wyrozumowanej dobroczynności, ale serca, a co za tem idzie, gorliwości i zaparcia się siebie dla pożytku drugich, rozbudzić nie mogą."

Nie znamy stopnia wykształcenia p. Przezdzieckiego i dlatego tylko z bezgranicznem zdziwieniem zauważyć musieliśmy, że przypisuje on jakieś odrębne metafizyczne znaczenie miłości bliźniego a filantropii, moralności a etyce. My, którzy byliśmy nawet w trzeciej klasie gimnazyum, słyszeliśmy, że pierwsza jest drugą (dosłownie), a trzecia czwartą (również dosłownie). Jeżeli tedy pan hrabia raczył zbogacić słownik nasz o kilka nowych terminów (filantropia, etyka), to powinien był szerzej zaznaczyć, co pod tymi wyrazami rozumie. Że zaś tego nie uczynił, tedy musimy (taka już jest konieczność logiki) przypuścić, że to zróżniczkowanie zostało *ordine acrobatico* wymyślone i zdradza tylko manowr strategiczny, mający na celu zabezpieczenie sobie tyłów, inaczej pomocy — *ça va sans dire* — materyalnej owych wyznań niechrześciańskich, które po za „linię osiadłości" — że użyjemy terminu administracyjnego—wszelkiej akcyi społecznej wyrzucają magiczne słowa *chrześciańskiej* jakoby moralności i *chrześciańskiej* znowu miłości bliźniego. Zresztą pan hrabia mógł powołać się na znane słowa, że „niechaj nie wie prawica, co czyni lewica." Ale zapomniał, albo zroszą może i nie wie wcale, że chrystyanizm był rozkwitem najwyższej tolerancyi, albowiem podniósł się był do równouprawnienia narodowości, wyznań, klas, stanów i płci — οὔτε Ἰουδαῖος, οὔτε Ἕλλην — i że to, co p. P., jego nauczyciele i sojusznicy, przyjaciele, a może i uczniowie, uważają za moralność chrześciańską, znajduje się od pierwowzoru swego tak daleko, że nic z nim wspólnego zdaje się nie posiadać.

Jesteśmy zgorszeni nie tyle niewiedzą teologiczną pobożnego hrabiego, ile brakiem szczerości w jego postępowaniu. Po co to obwijanie w bawełnę zupełnie jasnych słów: Żydzi za drzwi! Tem bardziej, że cała akcya ratunkowa, cała misterna budowa nie przyda się chyba na nic. Niemiec mówi: *Man merkt die Absicht und man wird verstimmt.* Pomimo serenady na cześć samarytanizmu, „niewierni" powiedzą chyba tylko: „wszystko albo nic; *samych pieniędzy* nie damy!"

BADANIA NAUKOWE.

Teorye Gustawa Le Bon'a.

Gustaw le Bon stał się u nas popularnym pisarzem. Przełożono na nasz język naprzód jego psychologię narodów, obecnie zaś ukazała się w tłomaczeniu inna jego praca, poświęcona psychologii tłumu. Wszystkie zasadnicze twierdzenia, w obu tych dziełkach zawarte, wygłosili przed laty niemal czterdziestu Lazarus i Steinthal w sposób bardziej naukowy i głębszy; ale poglądy ich przebrzmiały, nie przedostawszy się po za nieznaczne koło specyalistów. Le Bon zawdzięcza swoje powodzenie, prócz innych względów, właśnie temu, że książki jego nie mają nic wspólnego ze ścisłością naukową, że prace jego — to lekki fejleton, pisany w formie książkowej i zawierający płytkie zapatrywania pospolitego „zdrowego rozsądku."

Nie wdając się w szczegółowy rozbiór poglądów pisarza francuskiego, poprzestaniemy na przedstawieniu zasadniczego wątku jego założeń, który leży w osnowie obu jego dziełek, powyżej wymienionych.

. . . .

Idee bywają różne.

Jedne są wypowiedzeniem potrzeb pewnej grupy społecznej i przedstawiają sformułowanie jej dążeń prawno-politycznych. Takiemi były hasła stanu trzeciego we Francyi w końcu w. XVIII.

Idee tego rodzaju zwiastują dojrzewanie w społeczeństwie nowych stosunków, ukazywanie się nowych widnokręgów. Są one jako drogowskazy dziejowe, powiadamiające nas o kierunku parcia społecznego. Rozsądny i ograniczony, powściągliwy i namiętny, uczciwy i szubrawiec, słowem każdy członek pewnej warstwy, bez względu na swoje właściwości duchowe, daje posłuch takiej idei, streszczającej w sobie jego interesy i potrzeby. Hasło przedostaje się coraz dalej, dając wyraz odruchowym aspiracyom, i zamienia się na trwałą cząstkę ducha danej grupy, na jeden z artykułów w wyznaniu jej wiary prawno-politycznej.

Inne idee są pozbawione takiego zabarwienia, chociaż noszą na sobie zawsze piętno historyczne: duch ludzki, wysnuwając w pasmie wypadków nowe rojenia i kaprysy, działa skuty więzami czasu i przestrzeni.

Do liczby takich haseł możemy wliczyć podmuchy mody, demonomanie, wogóle prądy, jak ochrzcilibyśmy je jedną nazwą — antropologiczne. O ich krzewieniu się rozstrzyga w znacznej mierze duchowa natura uczestników. Prądy tego rodzaju odróżniają się krótkotrwałością. Są one jako rzeki wśród piasków pustyni, które rozlewają szeroko wody swoje na dni parę, a potem cofają je do dawnego niewielkiego łożyska, lub nawet zupełnie wysychają. Pospolite naśladownictwo odgrywa znaczną rolę w sprawie szerzenia się takich ruchów, przybierających niekiedy postać zarazy moralnej.

Mieszczańscy socyologowie znaku psychologicznego, w rodzaju G. le Bona, ze swojem płytkiem ślizganiem się po powierzchni objawów życia społecznego, pogmatwali to odróżnienie, a przyzwyczajeni do wzorów życia wielkomiejskiego, gdzie naśladownictwo staje się zasadniczym rysem duchowości tegoczesnej — tłomaczą przebieg rozpowszechniania się wszelkiego prądu w społeczeństwie za pomocą pobudki wyłącznie naśladowniczej. Zapatrzeni w zasady wychowawcze epoki obecnej, w której cała sztuka pedagogiczna wysila się, ażeby z dziecka zrobić przedewszystkiem wytresowane stworzenie, poddanie hypnotyczne utożsamili z przekonywaniem a wielkich inicyatorów myśli i czynu przyrównali do hypnotyzerów, pociągających bezwładne masy! Wychodząc z takiego założenia dali nawet definicyę „idealnego społeczeństwa," tj. takiego, w którem samodzielność ideowa zostałaby ograniczoną do minimum, krzewienie się zaś idei, mniejsza o to — jakiej, odbywałoby się bez żadnego „tarcia:" skoro jeden manekin podniósłby rękę do góry, drugi i dziesiąty powtórzyliby to samo wyłącznie przez naśladownictwo. Tak bywa w mrowisku! Przedstawiciele manchesteryzmu spotwarzyli te biedne stworzonka, przyrównywując je do kapitalistów; dzisiejsze pokolenie socyologów usiłuje wszelkie objaw uczucia i solidarności społecznej utożsamić ze zwyczajnem naśladownictwem. Naturalnie, pobudka naśladownicza działa, i bynajmniej nie mamy zamiaru zaprzeczać jej istnienia we wszelkich objawach życia społecznego. Ale do wielkich przełomów, przekształcających ustrój społeczny, wchodzi ona jako podrzędna dźwignia, natomiast wzrasta w znaczenie wśród potoku codziennych wypadków i zwykłych zdarzeń historycznych. Pospolity historyk, który całe swoje zadanie zamyka w wązkiej sferze artystycznego wskrzeszenia przeszłości, ma z nią często do czynienia; lecz filozof, poszukujący zasadniczego wątku rozwoju społecznego, potrzebuje ją tylko o tyle uwzględnić, o ile tłomaczy mechanizm pewnych zdarzeń — nie nadto.

Tłomaczenie krzewienia się idej, przekształcających życie społeczne za pomocą pobudki naśladowniczej, wprowadza jedynie zamęt do analizy przedmiotu i świadczy o jej płytkości. Jest to wszakże metoda dość powszechna i G. le Bon należy do bardziej znanych jej przedstawicieli. Winniśmy przeto zatrzymać się nieco dłużej nad psychicznym rodowodem idej historycznych, a mianowicie nad stosunkiem idei do innych pierwiastków ducha naszego. Taki rozbiór pozwoli nam sprostować niektóre opaczne poglądy, istniejące w tym względzie.

Idea, mniejsza o jej wartość, szerząc się w społeczeństwie, wżera się w mózgi ludzkie, nagina człowieka do swoich wymagań i robi z niego jawnego lub utajonego, a nawet bezwiednego sprzymierzeńca, niecąc w jaźni jego odpowiednie uczucia. Rozpatrywana z tego punktu, przedstawia ona jak gdyby pierwotny, zasadniczy punkt wyjścia dla przewrotu, odbywającego się w duszy ludzkiej. Takie pojmowanie rzeczy zgadza się w pewnej mierze z naszem doświadczeniem codziennem: idea-siła, pochodzenia zewnętrznego, dostawszy się do naszej duszy, stwarza tam dla siebie dźwignię emocyonalną, bo rodzi w naszem jestestwie zasób nowych uczuć, dążących do uzewnętrznienia się. Le Bon poświęcił dużo miejsca sformułowaniu doktryny, przedstawiającej rozpowszechnianie się idei z takiego płytkiego stanowiska.

„Idee dopiero wtedy wywierają wpływ swój na duszę narodu — pisze on między innemi — gdy po bardzo długiem wyrabianiu się zeszły z ruchliwych sfer myśli w stałą i bezwiedną sferę uczuć, w której wytwarzają się motywy czynów. Należą one wówczas już do charakteru i mogą wpływać na postępowanie. Skoro idee odbyły już tę powolną ewolucyę, siła ich staje się ogromną, ponieważ rozum przestaje je krępować: Człowiek przekonany, w którego umyśle panuje jedna jakaś idea, religijna lub inna, niedostępnym jest dla wszelkich rozumowań, chociażby był najinteligentniejszym. Co najwyżej, będzie on próbował — a najczęściej nie próbuje nawet tego — przez odpowiednie naciągania myśli i przekręcania niekiedy bardzo znaczne, wynaleźć argument, usprawiedliwiający jego poddanie się takiej a nie innej idei.

„Jakąkolwiek weźmiemy ideę, czy to naukową, czy artystyczną, filozoficzną lub religijną, zawsze mechanizm jej krzewienia się będzie jeden i ten sam. Musi być ona naprzód przyjętą przez małą liczbę apostołów, którym bądź siła wiary, bądź powaga imienia nadaje urok wyjątkowy. Działają oni wówczas bardziej przez suggestyę, niż przez dowodzenie. Bo też mechanizm przekonywania nie polega bynajmniej na wartości dowodzenia. Idee narzucają się albo siłą powagi, jaką posiada narzucający, albo siłą namiętności, do których się zwraca; nie miałyby żadnego wpływu, gdyby się zwracały tylko do rozumu.

„Skoro apostołom udało się zjednać małą liczbę adeptów i wytworzyć tym sposobem nowych apostołów, nowa idea zaczyna wchodzić w dziedzinę dyskusyi. Spotyka ją naprzód powszechna opozycya, ponieważ sprzeciwia się z konieczności różnym rzeczom dawnym i ustalonym. To naturalnie podnieca apostołów, ponieważ ślepa opozycya przekonywa ich tylko o ich wyższości nad resztą ludzi, i bronią z energią nowej idei nie dlatego, że jest prawdziwą — po największej części sami nie mogą tego sprawdzić — ale poprostu dlatego, że ją przyjęli za swoją... Dzięki namiętnym sporom, idea rozszerza się zwolna. Nowe pokolenia, widząc ją w walce, przejmują się nią właśnie dlatego, że ją zwalczają... Idea więc rośnie w dalszym ciągu i wkrótce jest już tak silną, iż nie potrzebuje poparcia. Zaczyna krzewić się siłą naśladownictwa i zarazy, zdolnościami, które ludzie posiadają w stopniu zazwyczaj równie wysokim, jak wielkie małpy, zbliżone do człowieka... Z chwilą, gdy zaczął działać mechanizm zarazy psychicznej, idea weszła w fazę, prowadzącą z konieczności do tryumfu. Opinia niebawem ją przyjmuje. Nabiera ona wówczas siły przenikania we wszystkie mózgi, tworząc za jedną drogą rodzaj specyalnej atmosfery, powszechną formę myślenia... Idea z jej konsekwencyami wchodzi wówczas w skład owego zasobu banalności dziedzicznych, narzucanych nam przez wychowanie. Zwyciężyła i weszła w dziedzinę uczuć, dzięki czemu na czas dłuższy zabezpieczoną jest od wszelkich napaści.

„Z różnych idei przewodnich w danej cywilizacyi, jedne, te np., które się odnoszą do sztuki lub filozofii, pozostają w warstwach górnych narodu; inne, te zwłaszcza, które się odnoszą do pojęć religijnych i politycznych, zachodzą niekiedy aż w głąb tłumu. Dochodzą tam zazwyczaj bardzo przekręcone, ale gdy dojdą, władza wywierana przez nie na dusze pierwotne, niezdolne do krytyki, staje się ogromną. Idea przedstawia wtedy coś niezwyczajnego. Zawsze można znaleźć w narodzie sto tysięcy ludzi, gotowych dać się zabić dla idei, skoro tylko idea ta opętała ich dusze... W polityce podobnie, jak w religii, powodzenie należy zawsze do wierzących, nigdy do niedowiarków."

Słowem, otrzymujemy, według G. le Bona, dla rozwoju i krzewienia się idei w społeczeństwie wzór:

Idea—uczucie (1-o narzucone, 2-o dziedziczne i bezwiedne) — czyn.

Suggestya i naśladownictwo stanowią zasadniczą sprężynę rozwoju jego wyrazów.

(D. n.)

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Ludwika Godlewska (Externa): *Dobrane pary.* Powieść współczesna.

Pierwszą powieścią p. Godlewskiej było „Po zdrowie," potem nastąpił „Kato." „Dobrane pary" zostały nagrodzone na konkursie *Głosu*, co wobec koleżeństwa w wyróżnieniu z tak wybitnymi utworami, jak „Ksiądz Prot," „Siewcy" i t. d. — przyszło im z pewnego rodzaju łatwością i samo przez się nie decyduje jeszcze o wartości. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o tej powieści — wrażenie ogólne jest to, że sceny pojedyncze rzucone zostały ręką bardzo pewną i bardzo śmiałą. O kobiecem zaś pochodzeniu utworu mówią tylko pewne właściwości, dopasowane ściśle do recepty spencerowskiej: żywa wrażliwość, odczuwająca przejawy nurtujących prądów, bystrość myśli, chwytająca treść i znaczenie spostrzeganych zjawisk przy zbytnim pośpiechu do uogólnień — i jednocześnie pewna czupurna złośliwość w odmalowaniu „władców i panów"—neo-strindbergizm—tylko przenicowany. Jesteśmy w królestwie, gdzie mężowie dla dojrzałych panien rozchwytywani są chciwiej, aniżeli medaliki z Jerozolimy. Panna Hańka Borska jest to taka osoba, że „gdy się na nią spojrzało raz, brała ochota spojrzeć drugi raz, poczem w patrzącym budziło się pytanie: co też ona o mnie myśli?" Przyjaciółka jej, doktór Linkowska, mówi o niej: „oto jest prawdziwa kobieta z duszą," sama zaś Hańka wyraźnie czuje, że ma w sobie duszy i serca za wiele i że trzeba to komuś oddać. Pan Stefan Ładysz: to „głośno sceptyk, po cichu gorączkuje się, ażeby o coś wiarę zaczepić, schyłkowiec, którego fizycznie boli fałszywy ton na obrazie, w muzyce, w ludziach... gdyby potrzeba ofiary, obie ręce włoży w ogień." Trzeba dodać, że tak go określa także przyjaciel—wogóle zaś to osobnik nieco papierowy. Najważniejsze zaś, że „jest on w tym wieku, w którym mężczyzna patrzy na każdą pannę ze szczególną uwagą i mimowoli zadaje sobie pytanie: a może ta?" (tu panu Ładyszowi kłania się pięknie Połaniecki). Hankę i Ładysza dyskretnie zbliża Linkowska. Wtedy w głowie dziewczyny zrywają się myśli, szumiące jak nagle wyrojone pszczoły i spadające na duszę, jak kwiat pełen spokoju i słodyczy. Jemu zaś Hańka wydaje się jakimś fragmentem natury, jak sama natura, czystym i świadomym swoich celów. Następuje opis zbliżenia i pokochania się tych dwojga, pełen cudnie świeżych i cudnie ciepłych tonów — a nam zaczyna się zdawać, jakobyśmy już znaleźli ów symbol „doboru" w idealnem tego słowa znaczeniu. Złudzenie. Ładysz nie uważa za stosowne wtajemniczać narzeczonej w swoje nadzieje i zamiary, w świat swego „ja," sam natomiast wpada w fazę erotycznego droczenia się i mizdrzenia, tak pospolitego w literaturze naszej od czasów Sienkiewicza; nadomiar złego wyjeżdża do Anglii i nie daje o sobie znaku życia. Kobieta zaś, która wniosła w świat duszę uprawioną tylko pod miłość, jak tylko uczucie to wyrosło na tak przygotowanym gruncie, staje się duchowo wprost ułomną. Następuje zerwanie mało usprawiedliwione — bo tylko fałszywą dumą i zaciętością. Wtenczas rodzi się smutne pytanie: jakto, więc nie wspólność myśli i uczucia, nie równość duchowa mężczyzny i kobiety, nie powinowactwo natur, ale ślepy traf ma być spoidłem małżeńskiego związku i kompasem przyszłego szczęścia? Na to odpowiada autorka teoryą o tyle ryzykowną, o ile paradoksalną, ilustrowaną galeryą świetnie pochwyconych postaci.

Mamy więc klasyfikacyę mężczyzn na bawołów i lampartów, oraz na takich, którzy bawołów i lampartów przerośli, inaczej — dęby. Kobiety zaś podzielone zostały na: 1) kobiety z duszą — gatunek wyższy, oraz 2) kurki, koliberki, bazyliszki o skrzydłach anielskich, lalki, bluszcze — wszystko gatunek niższy. Alegoryzacya najzupełniej jasna. Natomiast znacznie mniej zrozumiałe jest, dlaczego „kobieta z duszą" może skojarzyć się tylko z „mężczyzną-bawołem albo lampartem," a „mężczyzna-dąb" tylko z „bluszczem, koliberkiem albo lalką"? I to ma być „dobór naturalny"! Że autorka spostrzegała takich Stachów, Walków i Maryanów Borskich, o których mówi matka: „może będą nieszczęśliwi, ale uczciwymi zostaną zawsze" (znów ta rekomendacya z ust osoby bliskiej!) — i którzy proch zmiatają z pod nóżek pań Melek, Florek itd., zaślepieni aż do naiwności na ich wady i małostki — na to zgoda, ale czy tak jest zawsze i czy tak być musi? Mniejsza zresztą o to podrobione „prawo doboru," chodzi tu bowiem bardziej o smutne konsekwencye takiego stanu rzeczy. Jest to powolne i nieustanne, choć niewidzialne na pozór zamulanie i zaśmiecanie duchowego terytoryum mężczyzny tysiącem drobnych małostek, brudów, a nawet podłostek kobiety, która się stała matką jego dzieci. Doktór Wieżajski, który w biegu powieści z żyjącej i ciekawej postaci staje się sprężynkowym rezonerem, energicznie dopomaga autorce w sformułowaniu poglądu na dzisiejszą kwestyę małżeńską; oto mężczyźni demoralizowali i ogłupiali kobiety przez długie wieki, a dzisiaj one ich demoralizują i ogłupiają (mowa, rozumie się, o małżeństwie). Kobieta nie odwraca się koło mężczyzny, jak blady, skromny księżyc, ale odwrotnie. Coś, niby dziejowa nemezys. Z czego wszystkiego wywodzi się poniższy pentalog ku użyteczności niewieściej:

Jeżeli jesteś „kobietą wyższą": 1) Nie będziesz wierzyła miłości duchowo rozwiniętego mężczyzny, gdyż taki prędzej zegnie kolana przed lalką albo aktorką, aniżeli przed sobie równą. Dla tamtej zaś dąb taki będzie rozwalał mury, zrobi wszystko, nawet zgłupieje, tylko nie zapomni. 2) Nie będziesz wymagać od duchowo rozwiniętego mężczyzny, ażeby starał się poznać i pokochać twoją duszę, bowiem mężczyzna im starszy i bardziej głęboki, tem chętniej staje się dzieckiem przy kobiecie, którą kocha, prawdziwej zaś kobiety nie doceni nigdy — chyba że to będzie cudza żona. 3) Nie będziesz znosiła w oczach takiego mężczyzny współzawodnictwa z lalką nawet w tym wypadku, jeżeli jesteś równie piękną. 4) Nie będziesz się starała uprawiać gruntu twej *duszy*, ale postarasz się o szczególną pielęgnacyę *serca* i to tylko jednej komory tego serca, który to przybytek oddasz w wyłączne posiadanie męża-władcy-pana-dębu. *A nadewszystko*: 5) Będziesz zawsze najlepszą i najodpowiedniejszą małżonką dla „bawołu" i „lamparta" — i będziesz zupełnie skutecznie podnosić jego nicość do wysokości swego człowieczeństwa. *Quod erat demonstrandum.* W tem miejscu zemsta przyprowadza mi na myśl pewien wiersz o kobiecie:

> Nigdy nie poznasz, czem ona się wzrusza:
> Frak ją w geniuszu wzruszy, w głupcu — dusza...

i wiele, wiele innych argumentów ku zburzeniu twierdzy tego pentalogu. Lecz w porę przypominam sobie, że, cokolwiekbym powiedział — byłoby nie na miejscu, jako *oratio pro domo mea.*

To wszystko było, że tak powiem, wojowniczą stroną powieści. Artyzm natomiast tkwi w modelowaniu charakterów za pomocą dyalogów oraz znacznie mniej już — w opisach. Otóż artyzm ten w stosunku do poprzednich utworów nie wydaje mi się posuniętym naprzód. Brak tu jeszcze — zupełnie objektywnego stosunku twórcy do własnej wyobraźni: tu i owdzie stawia się kropki nad i, tu i owdzie zawiele się dopowie, często podkreśla się własne sympatye i wstręty zanadto widocznie, w danem starciu wskazuje się palcem: ten oto ma racyę, a ten jest winien. A przytem do ostatniej powieści przybłąkał się jakiś realizm, rozlewający się po utworze bardzo nierównomiernie—a przytem natury dosyć podejrzanej. Proszę się przyjrzeć takiej np. rodzince państwa Tygłowskich. „Tatuś" ex-obywatel „zjechał na psy," jak się wyraża rodzona córka, w domu zdrowia znalazłby sobie odpowiedniejsze miejsce pod rubryką: *delirium tremens-amnesia alcoholica*. „Mamuleczka" o twarzy czerwonej „jak starannie wyczyszczony rondel" — ma słabość do wiecznego pożyczania pieniędzy; kiedy jej odmawiają, nie zraża się: „jeżeli żona, albo pan, albo kto kiedy będzie miał, proszę pamiętać, że ja zawsze potrzebuję." Synek: doktór, Bolesław Tygłowski — blagier i szubrawiec — specyalista od obalania testamentów bogatych krewnych, przeznaczających majątki na cele dobroczynne. Ale koroną rodziny są córeczki mamuleczki: pani Melka i panna Janka. A oto próbka „realizmu" autorki w odmalowaniu tych osóbek. Pani Melka wybiera się na spacer i każe niańce podać gorset. Na to niańka czyni filozoficzno - sarkastyczną uwagę: „A może jeszcze mycie bandzie — ni?" Pani Melka: „Prawda, zapomniałam o myciu — to dopiero. Chyba tylko ręcznikiem się wytrę." Druga refleksya niańki: „Pani to pewnikiem i dzisiok nie wdziała cystej koszuli." Pani Melka: „Pewnie, że nie — przecież dzisiaj czwartek" itd. Zaczynamy tracić zaufanie do takiego realizmu. Druga córeczka. Panna Janka prosi brata o 5 rubli „na pelerynkę." Rozpoczyna się pełna swoistego wdzięku scenka. Pan Bolesław zgniótł papierek w ręku i, rzuciwszy do góry, nad głową siostry, zawołał: „Na, masz — łapaj." Panna Janina podskoczyła, nie złapała, potem rzuciła się na ziemię, jak zgrabny psiak, a gdy wstała, miała oczy roziskrzone itd. Końcowe strony powieści uwieńczone są opisem pieszczot Janki i Ładysza, który zupełnie nie nadaje się do przytoczenia. Zachodzi pytanie: co to jest? Wchodzimy w jakiś świat mało rzeczywisty: pomiędzy stworzenia, które nie są zwierzętami, ale nie są też ludźmi; u jednych same popędy i nic — tylko popędy, u innych obok popędów — wyrachowanie, zwłaszcza pieniężne, ale nigdzie prawie natury *ludzkiej*, prawdziwie ludzkiej, może złej, przewrotnej, nieszczerej, głupiej, nawet wstrętnej, ale wyposażonej wszystkiemi pierwiastkami i władzami. I jeszcze jedno. Nad całą powieścią unosi się taki ostry zapach zmysłowości, jakiej pani Zapolska nie potrafiła wydusić ze wszystkich razem swoich rozebranych bohaterek. W „Dobranych parach" nawet przyroda „dyszy wonią kantaryd."

Powiedział ktoś, że — kto w literaturze ma własne konie, ten omnibusem nie jeździ. Otóż p. Godlewska dotychczas jeździ omnibusem — omnibusem gładkim, eleganckim — wprost z zakładów Sienkiewiczowskich, ale nie własnym. Podrabianie stylu Sienkiewicza jest tak umiejętne, tak nieprzerwane, tak niewolniczo dokładne, że aż irytuje — efekty rozpoczynania każdego nowego okresu od wyrazów: „jakoż," „istotnie" itd., używania aż do znudzenia spójnika „lecz" tam, gdzie nie ma ani cienia przeciwstawień, wyrażenia: „taka moja," „bardzo moja," „taki nasz," „bar-

dzo nasz," dodawanie okresom prostoty za pomocą wyrażeń: „poprostu," „doprawdy" itd. — przejadły się nieco nawet w oryginale, a cóż dopiero w reprodukcyach. Ale są to rzeczy natury zewnętrznej, z których prędzej czy później strząśnie się talent, dziś już z wielką siłą wyrywający się w pierwsze rzędy.

Władysław Sterling.

POEZYE

Z CYKLU „JODŁY."

SZUM OD JODEŁ.

Po wysoczyźnie błądzę w dzień sierpniowy,
Kędy mnie ścieżka pośród skał przywiodła,
W borze stuletnim omszałe parowy,
Gęstwa, wilgocią ruczajów ochłodła,
I dzikich malin splątane osnowy.

Za mną, w spowitym w siną mgłę wądole,
Tajemne jodeł dumają posągi,
Przede mną szczere rozwarło się pole,
W te same garby spaczone, co ongi,
Gdy w pierwoświata zastygło żywiole.

Dziękczynnem okiem witam płaskowzgórze!
Ono mi wiosny złote dni powraca,
W czerwoną krasę zdobi skroń naturze
I o kłoszące się niwy wzbogaca
Chwilę, gdy w dole okwitają róże.

Tu — drzemie pamięć, że w równinach ściernie
Już się po łanach pszenicznych brunatnią,
Że się już w sterty układa misternie
Snopy srebr żytnich i kopę dostatnią
Młóci w stodołach na błyszczącem ziernie.

Tutaj przepiórka, gaździna skrzętliwa,
Zawczasu swoje „pójdźcie żąć" ćwierkając,
Zwołuje żeńce; tu z pod nóg się zrywa
Stado kuropatw, a bezpieczny zając
Miga w redlonkach bliskiego warzywa.

Świeży zbóż dywan rzucony niedbale
Chmara motyli migotliwie muska,
W wysokim świerszczów i bąków chorale
Miedza drży cała, a biedronki łuska
Na źdźble owsianem zalśni jak korale.

Lecz oto milkną skrzypkowie nadziemni,
Zdala, od jodeł ciężkie chmury płyną,
Gaśnie blask słońca i coraz tajemniej
Szum chodzi w zbożu westchnień pajęczyną,
I wraca smutny do jodłowej ciemni...

Cezary Jellenta.

SPRAWY EKONOMICZNE

RURAL EXODUS.

VII.

Pomówimy obecnie o innej niemniej od poprzednio poruszonych ważnej sprawie.

W roku zeszłym weszła na wokandę Towarzystwa hygienicznego w Warszawie kwestya pomocy lekarskiej na wsi. Z dyskusyi przedwstępnej warszawiaków, którzy o leczeniu włościan słabo tylko mają pojęcie, wyłoniła się potrzeba ankiety. Rozesłano kwestyonaryusz do wszystkich kilkuset Obrzydłówków całego Królestwa; zaproszono do współpracownictwa wszystkich lekarzy prowincyonalnych, ilu tylko mieści „Kalendarz Lekarski"; po kilku i kilkunastu tygodniach zaczęły kapać odpowiedzi. Gdy zaś zebrało się ich tyle, że można było napisać referat ilustrowany cyframi („statystyka" przedewszystkiem!), obwieściły nam *Kuryerki*, że w tym „najlepszym ze światów," rolniczym, obok szparagów (d'Argenteuil), kalehas (płockich), truskawek (Konig Albert) i rzodkiewek (marcowych) kwitnie urodzaj pomocy dla chorych.

Każdy z nas, wieśniaków, czytając zapowiedzi takiej ankiety, uśmiechał się gorzko. Z góry wiadomo bowiem było, że nic będzie z niej pociechy, jeno dla — reporterów. Lekarze bowiem prowincyonalni, żyjący z pracy po folwarkach obywatelskich, lekarze, którym chodzi o utrzymanie godności swojego stanu, musieli odrzucić od siebie wykonanie ankiety, przedewszystkiem dla tego, że przez ujawnienie folwarków i właścicieli, u których pomoc lekarska udzielaną bywa prawidłowo, mogli z łatwością być posądzeni o chęć reklamowania zamożniejszej klienteli, po drugie dlatego, że wymieniając tylko doskonale zaopatrzone gospodarstwa na pierwszym miejscu, musieliby inne mniej dobrze pod względem leczniczym funkcyonujące — odsunąć na plan dalszy, a tem samem zrazić by mogli ich mniej zamożnych, a tem bardziej może drażliwych właścicieli do wszelkiej w tym kierunku działalności społecznej; po trzecie, a to rzecz najważniejsza, że zamiast wszelkiej dodatniej mniej lub więcej odpowiedzi należało zapłakać ponurym Jeremiaszowym żalem, żalem człowieka, który o ile chce uczciwie pracować, pędzony dniem i nocą, w deszcze i zawieje, z bryki na brykę, z wózka na wózek, w krwawym pocie zaledwie możliwie skromne utrzymanie dla rodziny swojej zdobyć jest w możności... Niektórzy jednak lekarze nie chcieli zasłużyć sobie na miano istot pozbawionych ogólnie - społecznego interesu i dbałości o dobro powszechne i odpowiedzi nadesłały. Towarzystwo wnet ogłosiło po wszystkich dziennikach spis dominiów, gdzie według świadectwa lekarza miejscowego pomoc jest dostateczna. Ale tych świadectw było na ogół tak mało, że jeżeli jakikolwiek wniosek z publikacyi wyprowadzić można było, to ten tylko, że trzy czwarte folwarków Królestwa — wcale pomocy lekarskiej nie używa. Wszelkie zaś inne wnioski, a nadewszystko ten jeden, jakoby stan obecny, tej sprawy był wystarczającym — są zgoła fałszywe.

Ktokolwiek mieszkał na wsi (nie na wilegiaturze) wie, że tak jest dzisiaj, być musi w chwili obecnej. Pomoc lekarska jest bardzo droga. Lekarz, jadąc do chorego traci zazwyczaj pół dnia albo i noc całą; jeżeli za tę wyprawę otrzyma 5 rb., zostaje wynagrodzonym nader skąpo. Do tej atoli sumy doliczmy koszt furmanki w jedną i drugą stronę — konie, człowiek, wszystko przytem odrywane od stałego zajęcia — aptekę—(rzecz może w całej tej sprawie najdroższą), a z łatwością wyliczyć będzie można, że stała dobrze zorganizowana pomoc lekarska dla służby folwarcznej kosztować musi rocznie kilkaset rubli. Któż sobie może w „ciężkich czasach," jakie przebywa obecnie rolnictwo, na taki wydatek pozwolić. Tylko ludzie bogaci, właściciele dużych folwarków, latafundyów, albo — ideolodzy. Bylibyśmy nader szczęśliwi, gdybyśmy byli przekonani, że ludność pracująca po większych folwarkach jest zabezpieczoną na wypadek choroby. Tak jednak nie jest wcale.

Z tym naszym sądem nie pozostajemy bynajmniej odosobnieni. Bolesław Prus poświęcił tym cyfrom jedną z kronik swoich i, zsumowawszy głosy i poglądy na pomienioną kwestyę w szeregu cyfr i argumentów, do nader ujemnych dla wsi doszedł wniosków. Tygodnik zaś petersburski *Kraj*, którego chyba nikt o chłopofilstwo i antiszlacheckie tendencye posądzać nie będzie, poświęcił sprawie pomocy lekarskiej po wsiach artykuł w nr. 12 z 6 kwietnia r. b. Artykuł ten trzymany jest w formie dyalogu, który autor prowadzi z przedstawicielami stron zainteresowanych, ziemianinem i lekarzem wiejskim. Ziemianin mówi: „Wzywasz lekarza do chorego, posyłasz o milę do miasteczka, odsyłasz z powrotem; jednem słowem czas samej jazdy wynosi 4 godziny i nie licząc porady lekarz traci pół dnia; w ciągu jednej doby najwięcej dwie wizyty, nie zarywając nocy, odbyć może. Zdaje się, że wynagrodzenie nie będzie dużem, jeśli obliczę je na 3 rb. Biorę umyślnie cyfry minimalne. Dodać do tego należy jeszcze koszt furmanki, strawnego na stangreta, co razem uczyni z górą 5 rb... Są inne jeszcze trudności, najważniejsza brak lekarza. W Warszawie na 1,500 mieszkańców wypada 1 lekarz, na prowincyi 1 na 8 tysięcy." „Ostatecznie pomoc nie zawsze jest wystarczającą, pewną część winy moglibyśmy przyjąć na siebie, ale zorganizowanie pomocy lekarskiej na prowincyi ze wszech miar pożądane przechodzi możności pojedynczych osobistości..." Lekarz mówi: „Obowiązku naszego należycie spełnić nie możemy — chory musi mieć wiarę w lekarza, ale i lekarz winien być przeświadczony, że potrafi nietylko chorego leczyć, ale i wyleczyć, a dlatego koniecznem jest, aby chory chciał i *mógł* wszystkie zalecono środki wypełnić. Mów że tu chłopu o izolacyi w razie zaraźliwej choroby, gdy on w jednej izbie z rodziną mieszka; przepisz wody mineralne temu, co ma zaledwie na kawałek mięsa w święta; zarządź operacyę, do której potrzeba aparatu, stosu instrumentów, których w całej gubernii niema. W takich wypadkach lekarz jest bezsilnym i poprostu pali mu rękę ów rubel czy dwuzłotówka, dawana jako honoraryum! Nie ma się wiary w siebie i nie może się jej udzielić choremu. Że zaś lekarz bywa wzywany w groźnych zazwyczaj wypadkach, w których, jak już wspomniałem, skrępowane ma ręce, przeto w umyśle prostaczków utrwala się przekonanie: *bo ta doktór był i nic nie pomógł.*"

Jest jednak jedna niezmiernie ważna sfera życia wiejskiego, wchodząca już w zakres życia na pół prywatnego, na pół publicznego, o której to sferze u nas głucho jest zupełnie, a która skutkiem tego może właśnie zasługuje na bliższe w tem miejscu rozpatrzenie.

Prawodawstwo fabryczne i u nas ujęło już mniej lub więcej silnie w swoje ręce pracę robotnika miejskiego i chroni go od nieszczęśliwych wypadków. W porównaniu z tą sumą opieki sanitarnej, z jakiej korzysta robotnik w mieście, życie robotnika wiejskiego jest zupełnie wolne od wszelkiej kontroli, ale i od wszelkiej opieki. Tymczasem zdawałoby się, że nietylko interes klasy robotników rolnych, ale i wymagania kultury rolnej w kraju tak wysoce rolniczym, jak nasz, wymagałyby bliższej i ściślej interwencyi społeczeństwa.

(D. n.).

Zen. Por.

NASZE STOSUNKI PRZEMYSŁOWE.

Dwóch lat niema, jak wyszła w druku praca p. R. Luxemburga p. t. *Die Industrielle Entwickelung Polens*, gdy dziś ukazała się znów obszerna, bo 300 stron druku obejmująca praca p. H. Radziszewskiego, traktująca o tym samym przedmiocie *). Zjawienie się w tak krótkim odstępie czasu dwóch prac poważniejszych, starających się podać całokształt stosunków wielkoprzemysłowych i ich rozwoju, świadczy wyraźnie o wydatnej roli, jaką w naszem życiu społecznem zajęła dziś ta dziedzina wytwórczości.

*) *W naszych sprawach II.* Henryk Radziszewski. „Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem

„Rozwój przemysłowy Królestwa Polskiego — pisze autor we wstępie do swej pracy — stał się faktem tak znamiennym, że jeżeli nie wszyscy może dość się z nim liczyli, to w każdym razie był on naustach wszystkich... Badając całość rozwoju naszego przemysłu, napotykałem po drodze nieprzebraną ilość zagadnień i kwestyj. Bo i jakaż sprawa nie nawiązuje się do niej? Czyż można pominąć tło, na którem rośnie praca wytwórcza kraju? A więc czy można nie mieć na widoku właściwości geologicznych, etnograficznych i demograficznych ludności? Dalej, czy można pomijać sprawę ludu roboczego, instytucyj robotniczych, obowiązków pracodawców? Czyż nie wiąże się z tem niezmierny, nieprzebrany labirynt najrozmaitszych zagadnień natury technicznej? A sprawa rynków zbytu? A prognoza każdej gałęzi przemysłu?

Autor nie kusił się o udzielenie odpowiedzi na wszystkie te pytania. Pod tym względem — co się tyczy zakreślonego celu i planu — prace p. Luxemburga i p. Radziszewskiego różnią się ogromnie. P. Lux. nie dała całkowitego obrazu rozwoju wszystkich gałęzi przemysłu, jednak opracowuje głębiej materyał, z którym ma do czynienia — wyjaśniając badane zjawiska, stara się o ich oświetlenie i pogłębienie socyologiczne, ocenia omawiany czynnik ekonomiczny z ogólniejszego, społeczno-politycznego punktu widzenia, stawia prognozę rozwoju na przyszłość, omawia bliżej sprawę rynków zbytu, politykę państwową i interesy polityczne i ekonomiczne państwa na kresach itd. P. Radziszewski oceny takiej nie daje; nie uwydatnia należycie wysnuwających się z zebranych przez się danych — charakterystycznych cech rozwoju przemysłowego, nie roztrząsa bliżej stosunków ludnościowych, rynkowych itd. Obraz dany przezeń, a obejmujący niemal wszystkie gałęzie produkcyi przemysłowej, obraca się głównie w ramach wniosków, dających się doraźnie wyciągnąć z zestawienia cyfr wartości produkcyi, ilości robotników i ilości fabryk.

Natomiast gdy p. Luxemburg ani słowem bodaj nie wspomniał o dawnej historyi przemysłu w Polsce, a usiłowania ku obudzeniu życia przemysłowego w kraju w pierwszej połowie bieżącego stulecia przedstawił w zupełnie błędnem oświetleniu — p. Radziszewski daje obraz rozwoju przemysłu u nas od czasów najdawniejszych, bo jeszcze Piastowskich, obrazuje stosunki przemysłowe za Stanisława Augusta, a działalność przedstawicieli społecznych w w. bież. ocenia sprawiedliwiej według słusznej zasady: *suum cuique*! Dzieło p. L. zatem stanowi samo przez się głębszą pracę publicystyczną, studyum polityczno-ekonomiczne, gdy praca p. R. dostarcza głównie materyału historyczno-statystycznego dla publicysty, ekonomisty i socyologa. „Jest ona niczem więcej — mówi sam autor — jak schematycznem tylko zestawieniem materyałów, które mi się odsłaniały w czasie prowadzenia badań.“ Materyał to atoli obfity i pozwalający na zoryentowanie się w dziedzinie, którą ilustruje.

Praca p. R. składa się z dwóch części: pierwsza daje rzut oka na rozwój historyczny przemysłu naszego od czasów najdawniejszych do ostatniej doby, druga przedstawia porównawczo stan przemysłu w latach 1876 i 1896. W pierwszej części autor korzystał nietylko ze źródeł znanych, lecz nadto posiłkował się rękopisami odszukanymi w archiwum byłej Komisyi przychodów i skarbu, oraz w zbiorach prywatnych. Dane w części drugiej czerpał ze sprawozdań urzędowych gubernialnych. P. Radziszewski nie ręczy za ścisłość i wiarogodność danych i zaznacza, że należałoby je sprawdzić na podstawie wielkiej ankiety zbiorowej. Istotnie, kto się stykał bliżej ze sprawą statystyki przemysłu, wie dobrze, jak wiele braków posiada ona, ile trudności nastręcza się temu, kto chciałby z szeregu powikłanych i sprzecznych nieraz danych powyciągać wnioski ogólniejsze. Wobec tego za winę poczytać należy autorowi, iż nie uwzględnił całego materyału, który zebrany był przed nim, chronologicznie sięgającego jeszcze 1845 r., a zawartego w pracach Miaskowskiego, Wolskiego, Bociarskiego, Załęskiego („Statystyka porówn. Królestwa Polskiego“) i in., w encyklopedyach handlowej i powszechnej, „Słowniku geograficznym,“ *Ekonomiście* itd. Pozwoliłoby to na stworzenie bardziej wykończonego i pełnego obrazu porównawczego i wyprowadzenia bardziej stanowczych wniosków o kierunku rozwojowym zarówno poszczególnych gałęzi naszego przemysłu, jak i jego całości.

Rzućmy okiem na stan przemysłu w dawnych czasach. W epoce bardzo odległej lud, osiadły na ziemiach polskich, zajmował się wyłącznie niemal rolnictwem; i wtedy jednak płody rolne przerabiano w domu, ze lnu i konopi wyrabiano samodziały, narzędzia pracy rolnej, broń, sprzęty domowe. Tkactwo znanem już było w wieku X, poczynają się rozwijać rzemiosła, które w w. XII zwracają uwagę obcych.

Prócz rzemiosł wcześnie rozwijać się zaczyna i przemysł górniczy. Idąc za Hieronimem Łabęckim *), autor powołuje się na świadectwo Długosza, jakoby już za Bolesława Chrobrego rozwijało się kilka gałęzi przemysłu górniczego. Panujący ten, nadając kościołom posiadłości, zaznaczał wyraźnie, że żelazo, ołów, sól i srebro, z wyjątkiem złota, do nich należeć mają.

Atoli tego rodzaju wiadomości niczego nie dowodzą, gdyż dotacyj takich dokonywano według pewnych schematów i wzorów zachodnich, a więc z góry, nie wiedząc nawet o istnieniu danych bogactw mineralnych, nadawano je wraz z posiadłościami ziemskiemi.

Na fakt ten zwrócił uwagę moją czcigodnej pamięci profesor Łaguna **), wskazując, iż z cytat powyższych nie można wyciągać wniosku, jakoby dane bogactwa wewnętrzne już wtedy były u nas znane i dobywane. Pośredni tego dowód widoczny jest z tego, że w nadaniach takich mówiono tylko ogólnie o bogactwach możliwych i ich ewentualnem wyzyskaniu, oraz że korzystano z zapożyczonych schematów, jest przytoczenie zastrzeżenia: „auri vero cum exceptione...“ złota bowiem w Polsce nie znajdowano. W ten sposób data powstania u nas przemysłu górniczego nie da się ściśle określić. Sięga ona epoki Piastowskiej, lecz, zdaje się, nie X lub XI wieku, a może XII i XIII. Najwcześniejsze są, jak się zdaje, kopalnie soli.

(D. n.).

Stanisław Koszutski.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. P. Franciszek Kruczkowski w Galicyi pod Złoczowem zorganizował teatr chłopski z 15 kobiet i mężczyzn. Trupa ta występowała już podobno z powodzeniem w kilku miastach. Obecnie będzie dawała przedstawienia we Lwowie.

— Zarząd buskich wód mineralnych ogłasza, że w drugim sezonie kąpielowym, tj. od 21 czerwca do 21 sierpnia będzie zawieszone korzystanie z kąpieli bezpłatnych i po cenie zniżonej.

— Po długich debatach wydano w Szwajcaryi prawo mieszkaniowe, uwzględniające ważniejsze wymagania hygieny. Żąda np., aby w sypialniach na każdą osobę liczono przynajmniej 3,2 metra powierzchni podłogi i 10,3 m. powietrza; aby każde mieszkanie posiadało osobną kuchnię i ustęp. Prawo zawiera również przepisy dotyczące podziału płci w koszarach fabrycznych, zajazdach i domach, które odnajmują t. zw. „kąty“. Prawo zawiera też sankcyę karną, ustanawia posadę inspektora, który zwiedzać ma mieszkania itd. Jest ono kompromisem pomiędzy żądaniami hygienistów i ludzi zmuszonych mieszkać w tanich lokalach a zażartą opozycyą kamieniczników i ich reprezentacyi sejmowej — i dlatego jest niedoskonałem. Ale przydałoby się ono i w tej formie gdzieindziej.

Szkoły. Hrubieszowskie Towarzystwo rolnicze otworzyło w r. 1898 we wsi Dyakonowie szkołę szewcką. Utrzymanie jej w r. z. kosztowało 2,032 rb. Obuwia sprzedano za 2,226 rb.

— W pierwszej połowie czerwca w gimnazyum męzkiem św. Anny w Krakowie zdawały ostateczny egzamin dojrzałości pierwsze wychowanki miejscowej prywatnej szkoły gimnazyalnej żeńskiej. Powstała ona przed czterema laty za inicyatywą i sprawą trzech założycieli: prof. uniwersytetu, dr. Bujwida i Cybulskiego oraz znanego pedagoga, długoletniego dyrektora gimnazyów narodowych, radcy Bron. Trzaskowskiego. Obok nich istnieje Towarzystwo szkoły gimnazyalnej, liczące członków zwyczajnych, wspierających i założycieli. Szkoła miała z początku kurs czteroletni (obecnie zaś pięcioletni); przyjmowane są do pierwszej klasy uczenice liczące lat 13 po zdaniu egzaminu wstępnego lub wykazaniu świadectw odpowiednich. Nauka prowadzona jest wedle programu gimnazyów męzkich, a więc z łaciną i greką. Po ukończeniu szkoły — kandydatki zdają maturę męzką w gimnazyum św. Anny. Wpis roczny wynosi 100 guldenów. Na żądanie rodziców uczenice mogą się nie uczyć języków starożytnych, w takim jednak razie nie zdają egzaminu dojrzałości. W tym roku przystąpiło do egzaminu 21 kandydatek, z tych 6 zdało z odznaczeniem, 10 wykazało postępy dostateczne, 4 dostały poprawkę z jednego przedmiotu, jedna odstąpiła od egzaminu. Adres gimnazyum: Szewska nr. 9. Wpisy rozpoczynają się w pierwszych dniach września.

Agraryusze niemieccy nie przestają skarżyć się na złe czasy, na straty, które daje gospodarstwo rolne. Niezłą ilustracyę tych trenów Jeremiaszowych ofiarował dziennik *Deutsche Landwirthschaftliche Presse* czytelnikom swoim. Członkowie „Niemieckiego Tow. rolniczego,“ którzy zwiedzić zamierzyli tegoroczną wystawę, urządzoną przez Towarzystwo rolnicze, w Poznaniu, zaproszeni zostali do dominium Brody w okolicach Torunia, własności niejakiego Flucha, który gospodaruje na swym 6,000 morgów liczącym folwarku od lat 26. Podaje on, że w przeciągu tego czasu urodzaje okopowych potroiły się, a zbóż — wzrosły w czwórnasób. Kultura łąk, które dawniej przedstawiały moczary bezużyteczne, doprowadzona została do wysokiej doskonałości; w rowach, które przerzynają łąki, kwitnie hodowla raków. Zboża dały w roku 1874/5 dochodu 36 tysięcy marek, w 1889/90 — 100 tysięcy, a w 1898/9 — 231 tys. Z okopowych i fabrykacyi spirytusu osiągnięto zysku w r. 1894/5 — 114 tys., a w 1898/9 — 253 tysiące marek. P. Fluch jest oczywiście agraryuszem i hakatystą, ale zna się przynajmniej na swojem rzemiośle.

Prasa. Dzieje wydawcy taniego dziennika londyńskiego *Daily Express* — Pearsona, są nader pouczające. Nazywano go „prestidigatorem reklamy“ — taką bowiem wykazywał zręczność w wynajdywaniu coraz to nowych form przynęty, na którą daje się brać prenumerator. Między innymi on jeden z pierwszych przyszedł do przekonania, że majątek robi się tylko na piśmie nie służącem żadnym przekonaniom stronniczym. Nawet jego najbliżsi przyjaciele nie umieli nigdy powiedzieć, do jakiej partyi należy Pearson. Każdej bowiem z jednakową bezstronnością dostarczał nowości. Sztuka polega na tem, aby płynąć z prądem i zmieniać poglądy w tej chwili, kiedy to czynią wielkie masy przedpłatników. Jeżeli ludność jest usposobiona wojowniczo, to pismo służy *jingoizm'owi* i da-

*) „Górnictwo w Polsce.“

**) Fakt ten zresztą już oddawna znany jest w nauce. Por. np. nas bliżej obchodzące cenne uwagi prof. A. Meitzen'a w jego „Urkunden schlesischer Dörfer,“ 1863 (Codex diplom. Silesiae IV), a po za tem każdy nowszy podręcznik dyplomatyki, np. H. Bresslau'a. (*Przyp. Red.*).

e codziennie szczegółowe opisy wypadków z pola bitwy. Jeżeli publiczność ma już dość morderczych opisów, pismo występuje z obroną słuszności pokoju i pisze ody na cześć wiekuistego rozzbrojenia. W takich warunkach można w nader szybkim czasie zostać milionerem. (*Die Nation*).

Pokój powszechny. Według najnowszej statystyki, ogłoszonej przez biuro międzynarodowe pokoju w Bernie, Liga pokoju liczy obecnie 91 towarzystw wraz z 347 grupami lokalnemi i 35,000 członków. Z tego przypada: na Niemcy 4 towarzystwa z 72 grupami, na Austryę 6 tow., Belgię 2, Danię 1 (64 sekcye), Francyę 20, Anglię 12 (38 sekcyj), Włochy 5, Holandyę 4, Portugalię 2, Węgry 1, Rosyę 1, Norwegię 1, Szwecyę 2 (62 sekcye), Szwajcaryę 4 (27 sekcyj), Stany Zjednoczone 14, Amerykę Połud. 1 tow. Po za tem rozpierzchłe grupy istnieją w Rumunii, Bułgaryi, Japonii, Australii i Afryce Południowej.

Katastrofy. D. 25 czerwca o godz. 6 zrana pomiędzy stacyami Kosmodemjańsk a Semipratowo kolei Jarosławskiej spotkały się dwa pociągi towarowe. Uszkodzone oba parowozy, 23 wagonów strzaskanych, zabity nadkonduktor, ranionych kilka osób ze służby pociągowej. Linia uszkodzona na przestrzeni 100 sążni.

Zmarli. Hr. Murawjew, minister spraw zagranicznych.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym dokończenie dzieła Maksimowa p. t. **Syberya i ciężkie roboty**.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Іюня 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.